№ 28 Warszawa, dnia 3 (15) Lipca 1882 roku.




# I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.



## DWIE WYSTAWY.

### I.

Towarzystwo wyścigów konnych połączyło ze swą zabawą modną a przystępną jedynie panom i pankom, *wystawę koni i inwentarza* na placu Ujazdowskim. Jest to z kolei trzecia wystawa otworzona 10 czerwca r. b., na której przeważnie spotykamy okazy zbytkowe, wyhodowane przez właścicieli większych posiadłości, najmniej zaś liczniе są reprezentowane działy tak koni jak i inwentarza mające bezpośredni związek z gospodarstwem praktycznem.

W dziale koni było 168 okazów nadesłanych przez 49 wystawców. Najdzielniej przedstawiały się konie hr. Krasińskiego z dóbr Krasne, najrozmaitszych ras i hr. Branickiego z dóbr Stawiszcze. Dawną polską rasę stara się utrzymać M. hr. Stadnicka (Denesze z Wołynia). Są to bardzo piękne konie rasy polsko-arabskiej, z której wystawione pięć koni wzbudzały ogólny podziw tak pięknością kształtów, jak i ogniem. Niemniej piękne dwa arabczyki dał na wystawę p. Zaborowski z Chronowa (Radomskie), którego niewielkie stado jest, zdaniem znawców, wzorowo prowadzone. Nie brakło naturalnie rasy angielskiej, perszeronów, roadsterów etc. — ale były to konie przeważnie wierzchowe i powozowe, zaś bardzo mało okazów roboczych, a najmniej włościanie wystawili, gdyż tylko jeden Wojciech Widlak Siedzowa (pow. Garwoliński, gub. Siedlecka). Dał on na wystawę dwa okazy: bułany ogier, Powiślak, liczy lat 2 miesięcy 2; drugi Kubek, także bułany — 2 lata. Naturalnie oba okazy urodziły się u Widlaka i on je wychował; odznaczają się siłą muskułów i starannem utrzymaniem. Kiedyż dojdziemy do tego, by zamożniejsi włościanie wychowywali konie na własną potrzebę, silne, zdrowe i pięknych kształtów, zamiast owych wychudłych i wynędzniałych koniąt, które wiodą swój smutny żywot po chłopskich oborach i stajniach dorożkarskich! Zamiast owych usilnych starań wyścigowych i szyku przeplatanego francuzczyzną, każdy rozumny i miłujący kraj obywatel powinien przedewszystkiem zwrócić uwagę na chów koni średnich, tak nieodzownych w gospodarstwie — a jeśli już koniecznie musimy naśladować zagranicę, to zostawmyż panom ową zabawkę, bo i tak nudzą się nasi *nieobecni* gdy są chwilowo obecni.

Również arcyciekawą rzeczą na wystawie była publiczność warszawska i prowincyonalna, która odpowiednio do swych upodobań grupowała się w różnych działach. Około działu koni i tylko prawie około tego działu kręcili się panowie i kantorowicze ze szpicrutami, spinkami dżokejskiemi etc., często gęsto papląc po francuzku.

Starsze panie i gospodynie zajmowały się działem bydła rogatego, który w tym roku był uboższy niż zazwyczaj. Wystawców 18 przysłało 156 okazów. Wśród nich przeważała rasa holenderska a najpiękniejsze okazy należały do hr. L. Krasińskiego i p. Kraczkiewicza. Z rasy krajowej t. z. Świętokrzyzkiej, mieliśmy pięć okazów.

Tuż przy bydle rogatem mieściła się trzoda chlewna, wyjątkowo wymyta i oczyszczona. Były tu bardzo piękne okazy rasy lincoln, jorkshiry, berkshiry etc. Najznaczniejszą ilość tak co do ras jak i liczby, nadesłała na wystawę pani Ryxowa z Prażmowa.

Pomiędzy klatkami trzody mieścił się dział drobiu, około którego gromadziły się i warszawianki. Dział ten przedstawia się bardzo ubogo, jeśli zważymy na głośne niegdyś i sławione gospodarstwo kobiece. Dziś czasy się zmieniły. Wprawdzie pp. gospodarze rachunkami wykazują, że tuczenie i karmienie drobiu ziarnem wcale się nie opłaca i z tego powodu ograniczają hodowlę drobiu, ale gdy zważymy, że zagranicą zboże o wiele jest droższe a mimo tego, gospodarstwo drobiu jest rozwinięte na wielką skalę i sowicie się opłaca, to przyczyny upadku hodowli drobiu należy nam szukać na innej drodze.

We Francyi np. tuczy się drób robakami sztucznie produkowanemi w tak zwanych robaczarniach — czyżby u nas przy dobrych chęciach nie dał się rozwinąć ten dział gospodarstwa? Rozszerzyliśmy się nad drobiem, gdyż hodowla jego należy przeważnie do gospodarstwa kobiecego. Na tegorocznej wystawie mieliśmy kury rasy bramaputra i kochinchińsko-kuropatwiatych, wystawionych przez panią Ryxowę; również były białe kaczki tejże wystawczyni, rasy pekińskiej. Inne okazy, piękne tak wielkością jak i barwą dał pan Śliwiński; były to kury czarne, angielskiej rasy dorking, wreszcie najpiękniejsze nadesłał na wystawę ogród Frascati (hr. Branicki) kury ras: houdan, holend, jokohama i japońska. Rasa krajowa kur była nader nielicznie reprezentowaną, gdyż tylko pani Gomulicka i p. Kuczkowski nadesłali kilka okazów. Z gęsi na wystawie był jeden tylko gatunek t. z. łabędziowych czyli stepowych, powstałych z krzyżowania łabędzia z gęsią. Te ostatnie okazy nadesłała pani Rejchlowa z Zamościa (gub. Piotrkowska).

Jednym z licznych działów były owce najrozmaitszych ras i odcieni. Tu najczęściej można było spotkać ogorzałych obywateli i gospodarzy, mówiących tylko po polsku a rozkoszujących się kształtami owiec i baranów, wełną, mięsem, małą główką i delikatnemi kosteczkami.

Nieopodal huczały, piszczały, świstały etc. różne maszyny rolnicze, których większość pochodziła z zagranicznych fabryk. Były jednak maszyny z fabryk krajowych, wśród których odznacza

się zaszczytnie tak wykonaniem jak i przystępną ceną fabryka p. Ostrowskiego z miasta Koła. Firma Wasilewski i Kaniewski wystawiła osobny pawilon przeznaczony specyalnie na aparaty i naczynia do przerabiania nabiału. Spotykamy tu kierznię obrotową, wygniatacz do masła, oziębiacz do chłodzenia mleka etc., wszystko bardzo trwałe, eleganckie, ale drogie, gdyż sprowadzane z zagranicy. Gdyby jednak obywatele wiejscy a zwłaszcza nasze panie zechciały się zająć racyonalnem gospodarstwem mlecznem, zapotrzebowanie takiego rodzaju przedmiotów skłoniłoby w krótkim czasie naszych fabrykantów do produkcyi krajowej.

Wogóle wystawa tegoroczna zawiodła nadzieje w niej pokładane a dotyczące rozwoju gospodarstwa krajowego. Przekonała tylko, że kilku magnatów posiada piękne stajnie, prowadzi gospodarstwo racyonalne, chociaż może za zbytkowe, ale że wogóle jest pewna obojętność dla wystaw, która nie rokuje im powodzenia. Jeśli wystawa ma być obrazem naszego gospodarstwa krajowego, to musimy wyznać, że gospodarstwo zostaje w upadku, nie mamy bowiem na wystawie (prócz bardzo nielicznych) okazów, zastosowanych do gospodarstwa folwarcznego, że się tak wyrazimy praktycznego. Konie czystej krwi angielskiej, arabskiej etc. nie pójdą do pługa i wozu, ani też czyste holenderki etc. nie dadzą się zastosować do naszego klimatu i paszy. Potrzebujemy wołów i koni do roboty, krowę dla mleka, trzodę chlewną dla mięsa, owcę dla wełny. Czy rasa zachowa swój typ idealny, na tem nie zależy w gospodarstwie, byle organizm zwierzęcia był odpowiedni do naszych warunków i dawał odpowiednie korzyści.

Gdy zważymy, że według obliczeń specyalistów posiadamy w kraju 3,000,000 bydła rogatego, 750,000 koni, 5 milionów owiec i przeszło milion trzody chlewnej — to wystawa była tak nieliczną, tak słabo reprezentowała gospodarstwo nasze, że ją w żaden sposób za obraz zupełny a nawet przybliżony uważać nie możemy. Lecz może ona mieć z czasem inne znaczenie, które się zresztą ujawniło już i na tej wystawie, a mianowicie, może zostać wielkim jarmarkiem na wyborowe okazy.

## II.

Redakcya „Ogrodnika Polskiego” widząc upadek szkoły ogrodniczej, na utrzymanie której zabrakło funduszu, wpadła na szczęśliwy pomysł urządzenia „wystawy róż i innych kwiatów”. W piątek 23 czerwca, w starej pomarańczarni przy parku łazienkowskim otworzono wystawę, na której przedewszystkiem jaśniały pięknością, wonią i liczbą róże. Na wystawie tej zaimponowali przedewszystkiem bracia Hoserowie zająwszy niemal sami całą prawą część sali. Najrozmaitszych odcieni i gatunków róże zdobiły długie stoły, ubrane zielonemi festonami, szerokolistnemi roślinami i delikatnemi paprociami. Najpiękniejsze róże tak co do formy, jak barwy i woni były belgijskie, natomiast francuzkie traciły na porównaniu. Hoserowie prowadzą hodowlę róż na wielką skalę, posiadają róż przy ziemi oczkowanych 5,000, dobór róż obciętych, odmian 75, róże w doniczkach w uprawie 3,000.

Oprócz róż wystawili pelargonie bardzo liczne, gdyż do 200 odmian, również bratki, petunie, georginie i koleusy.

Z Hoserami rywalizuje w hodowli róż pan Ulrich, który w swych ogrodach posiada róż piennych i półpiennych 3,000, dziczków do oczkowania 10,000, a z wysiewu 70,000, niemniej piękne pelargonie scarlet i dobór petunii pełnokwiatowych. Dalej mamy ogród braci Kaczyńskich, ogród pomologiczny i ogród Saski. Wreszcie róże z Frascati, z Willanowa i wielu amatorów.

Naturalnie na wystawę dano wszystko, co było najpiękniejsze i najlepsze. Co do nas, to najpiękniejsze były róże: biała, la coquette des blanches, godna rywalka śniegu; bardzo piękna blado-różowa Auguste Mic i t. z. czarna Eugénie Fürst,— wszystkie z ogrodu Kaczyńskich. Redakcya „Ogrodnika” przedstawiła bardzo piękne i oryginalne czarne bratki Ładna, choć skromna była róża z ogrodu pomologicznego nazwana Homer, odznaczająca się zapachem, również czarna Monsieur Boncenne. Prześliczny pons posiada róża z ogrodu p. Blocha znana pod nazwą Generał Jacmino. Ogólną uwagę zwracała róża z nad Amuru, przysłana do ogrodu Frascati przez prof. Dybowskiego w r. 1878. Róża ta zimuje na wolnem powietrzu i co szczególniejsza owoce jej są jadalne.

Największy bukiet nadesłał p. W. Podgórski, amator z Warszawy, odznaczający się tak doborem barw jak i układem. Bukiet ten skrapiał się przez ukrytą wewnątrz fontannę. A któż zresztą policzy owe bukiety, kobierce, kosze, dywaniki, stoliki etc? Dla oka była to uczta świetna, która jednak wzrok łatwo nużyła, zaś woń przepełniająca salę, była tak silną, że bez zaczerpnięcia świeżego powietrza niepodobna było dłuższy czas w sali przebywać. Publiczność, a zwłaszcza panie nieustanną procesyą nawiedzały wystawę — cel więc osiągnięto, gdyż zapewne pokaźną sumkę zebrano na szkołę ogrodniczą. Niemniej też wystawa zapoznała szerszą publiczność z hodowlą róż, pobudziła do konkurencyi pp. ogrodników i wykazała niedostatki, chociażby np. takiego Willanowa, który na tej wystawie wcale świetnie się nie zaprezentował.

*Age.*

## Do Emilii. (*)

„JA SIĘ NIE DZIWIĘ!...”

Chciwie czytając twe ciche skargi,
Uśmiech boleści ścina me wargi,
Bo dobrze czuję doniosłość słowa,
Co w twem przejrzystem sercu się chowa!...

O!... słońce prawdy!... wieszczko w zaraniu,
Ja się nie dziwię twemu szemraniu,
Ja się nie dziwię, że w lutnię smętnie
Uderzasz... Dźwięcząc tkliwie, namiętnie!...

Ja się nie dziwię, bo sam — wyznaję,
Podobnych cierpień męki doznaję,
Bo świat jest teraz ciągłym zarzewiem:
Zła, smutku, nędzy!... Lecz czemu? .. Nie wiem!...

Czyżby naprawdę tak źle już było,
Czyżby w ludzkości łonie się kryło
Ziarno upadku i niebaczność w dal...
O, Boże wielki!... jak tradycyi żal!...

Więc nie! My silni jak dęby prastare,
Złe to zmożemy, bo mamy wiarę,
A ten kto wierzy niech pewien będzie,
Że przetrwa burze — wszystko zdobędzie.

Bądź też spokojną i z myślą błogą,
Uderzaj w lutnię, w lutnię nam drogą,
I rzucaj myśli z serca osnowy —
A my ci spleciem — wieniec laurowy!...

*Wacław.*

(*) Odpowiedź na wierszyk p. t. „Nie dziwcie się”.

# Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

**ZBIGNIEWA ZMORSKA.**

(Dalszy ciąg.)

Dopiero gdy układać się począł drugi mazur, nadeszła do nas Ksenia zarumieniona tańcem, wesoła i uśmiechnięta, prowadząc pod rękę pannę Skarzyńską. Powstaliśmy obaj ustępując im krzeseł.

— Moje panny, nie widzę was wcale, rzekła Jenerałowa grożąc im figlarnie.

— Ach, ciociu! odparła śmiejąc się Ksenia — jesteśmy tak zajęte, że nie siedziemy ani minuty. Coto za pyszna rzecz taki bal! Nie miałam pojęcia, że to coś tak cudownego!

— Jesteś więc pani zadowoloną? zapytałem.

— Trzeba być chyba takim starym jak ty, mój staruszku, aby się tem nie zachwycać! odparła mi siadając i opierając się swobodnie na poręczy krzesła.

Jenerałowa łagodnie zrobiła uwagę pupilce, że nie powinna tak publicznie nazywać mnie staruszkiem.

— Czy to ma znaczyć, że odmłodniał na balu? śmiejąc się zapytała dziewczyna.

— Nie wypada abyś tak mówiła przy ludziach.

— Ciociu — rzekła swoim słodkim, śpiewnym głosem — wypada zawsze i wszędzie, abym mu mówiła ty i aby był moim kochanym, drogim staruszkiem! Zresztą — dodała spojrzawszy na mnie z po za wachlarza figlarnie: czy pan odmłodniał, zaopiniuję po następnym mazurze, którego odmówiwszy kilkunastu pretendentom, zachowałam dla pana.

— Jakto! zrobiłaś to pani? zawołałem żywo.

— Naturalnie, angażowałam pana przecież jeszcze w domu, gdy mnie wsadzałeś do karety.

— Wiesz pani przecie, że oddawna tańczyć przestałem, a choćbym nawet dzisiaj zrobił wyjątek, to od wypadku przeszłorocznego z nogą, niepodobna mi puszczać się w tany.

— Poprowadzę pana tak mocno, że nic ci się nie stanie, rzekła śmiejąc się. Zobaczysz jaka z nas będzie śliczna para!

Jenerałowa wdała się w spór nasz tą razą bardzo seryo, tłomacząc Kseni, że nie powinna namawiać mnie do tańca, wiedząc że na moją nogę słabą jeszcze i wrażliwą, podobna zabawa mogłaby wpłynąć bardzo szkodliwie.

— Cóż ja teraz zrobię? rzekła dziewczyna z za-

kłopotaniem komicznem rozglądając się po sali. Wszyscy panowie mają już swoje damy!

W istocie pary wszystkie były już dobrane, zanosiło się na ogromnego mazura i ani jeden z tancerzy nawet starszych, w kącie nie pozostał. Właśnie też jakiś słuszny szatyn stanął przed panną Skarzyńską i szastnąwszy się uprowadził nam ją w szereg pań szykujących się do tańca.

— A więc panna Lubrzańska siedzi! — śmiejąc się zawołała moja faworytka.—Nie spodziewałam się tego!

W tej chwili dotknął ktoś mego ramienia.

— Przedstaw mnie pan, rzekł Mirski.

Poprowadziłem go przed Ksenię i wymieniłem nazwisko.

Stefan ukłonił się.

— Służę pani.

Dziewczyna wstała i podała mu rękę.

— Co się stało memu poważnemu chłopcu? rzekła hrabianka Nina, patrząc za odchodzącą parą. Zwykle niebardzo jest pochopny do tańca, a dzisiaj zwłaszcza mówił mi, że bardzo czuje się znużony podróżą.

— Chciał zapewne wybawić moją roztrzepaną Ukrainkę z kłopotu, odparła Jenerałowa.

Przez cały ciąg mazura uważałem, że Mirski wiele rozmawiał z Ksenią. O ile wydawało mi się, wypytywał ją ciągle o coś, a gdy odpowiadała mu z właściwą jej żywością, patrząc na niego swemi gwiaździstemi oczami, słuchał jej nie przerywając, uśmiechając się poważnie i łagodnie.

Gdy przecież skończył się taniec i odprowadził ją na miejsce pod skrzydło Jenerałowej, ukłonił się tylko i nic nie mówiąc odszedł do drugiego salonu.

Tego wieczora już nie tańczył i nie zbliżył się do niej.

Ustawicznie zato i uparcie asystował naszej Ukraince czarnobrody artysta, trzymając ją w formalnem oblężeniu i zabierając na wyłączną swą własność prawie wszystkie jej tańce.

Gdy nad ranem wyjeżdżaliśmy do domu, pozostawiając resztę towarzystwa tańczącą jeszcze w najlepsze, Stefan z obowiązku wicegospodarza, a Eugeniusz chyba asystenta, wyprowadzili nas na ganek. Przedsiębierczy malarz umiał już w przedpokoju manipulować tak zręcznie, że nierozłącznie znajdował się przy Kseni, otulając ją troskliwie w futro i szale, a pozostawiając mojej opiece pannę Skarzyńską a Stefanowi Jenerałową. Wywiązaliśmy się obaj równie sumiennie z naszego obowiązku: przyznam się jednak, że ciągła obecność artysty przy mojej faworytce zaczęła mnie już trochę niecierpliwić. Kontent byłem, że ten bal i wszystkie jego wrażenia skończą się nareszcie i z prawdziwą przyjemnością posłyszałem od wchodzącego służącego, że kareta już zajechała. Kiedyśmy wyszli na ganek dzień robił się zupełny i słońce wejść miało lada chwilę. Na wschodzie ukazywały się czerwone błyski, poprzedzające wynurzenie się dziennej gwiazdy, pokrywając lekkim różowym kolorytem krajobraz usłany grubym całunem śniegu, posiwiały od szronu pochylające go gałęzie drzew swym puszystym ciężarem. Powietrze było ciche, mroźne, niebo pogodne, przesłonięte jakby lekką gazą.

— Co za cudowny świat! rzekła Ksenia stając na wschodach i zsuwając biały kapiszon z główki. Jak to miło odetchnąć tak swobodnie po tej upalnej atmosferze balowej!

— Byłaś pani przecież zadowoloną z tej atmosfery, rzekłem jej trochę przekornie.

— Zadowoloną jestem zawsze ze wszystkiego co piękne i wesołe... temu jednakże — dodała wskazując mi główką szeroki krajobraz zimowy — nic nie wyrówna. Ciociu — zawoła naraz — pozwól mi pojechać z panem Sewerynem sankami!

— Zlituj się, dziecko, odparła siedząca już w karecie Jenerałowa; rozgrzana, zmęczona, chcesz jechać odkrytym ekwipażem? przeziębisz się, zachorujesz!

— Ciociu złota, zachoruję i umrę jeśli mnie zapakujesz do karety na taki cudny poranek — wesoło odparła dziewczyna. Muszę użyć tego powietrza, szronu, mrozu, wszystkiego!

— Weźże przynajmniej kapturek na głowę i owiń się tym szalem! rzekła już zmiękczona staruszka, wyrzucając jakiś kaszmir z karety.

Obaj młodzi ludzie przez czas tego sporu nie spuszczali oczu z tej smukłej postaci otulonej w piękne futerko aksamitne, z kapiszonem białym opuszczonym na ramiona, różowej i świeżej jak zorza, pomimo zmęczenia i nieprzespanej nocy... Eugeniusz stojąc tuż obok, wpatrywał się w nią z zachwytem, pochłaniając ją płomienistemi czarnemi oczami. Stefan wsadziwszy do powozu obie panie, stał przy stopniu, czekając spokojnie ostatniej decyzyi, przyglądając się dziewczynie uważnie. Gdy nareszcie fantastyczna Ukrainka postawiła na swojem, zatrzasnął drzwiczki, ukłonił się paniom i nie powiedziawszy ani słowa, skinął na stojące nieopodal moje sanki. Teraz już sam, nie spuszczając się na nikogo, wsadziłem Ksenię do sanek i otulałem ją niedźwiedzią szubą i szalem troskliwie, kryjąc jej rączki pod futro. Dziewczyna śmiejąc się pozwalała otulać się i siedziała tak spokojnie, dopóki nie wsiadłem do sanek. Zaledwie jednakże usadowiłem się obok niej wygodnie, rozkryła się natychmiast, wyciągnęła rączki strojne w białe rękawiczki i rzucając w śnieg bukiet balowy zawołała:

— Podaj mi lejce Grzegorzu!

Grzegorz przyzwyczajony do podobnych rozkazów młodej pani, wyciągnął lejce aż do tylnego siedzenia, podał je i odsunął się na drugą stronę kozła.

Ksenia ujęła lejce z szykiem starego bałaguły, z uśmiechem skinęła główką stojącym przed gankiem młodym ludziom i ruszyliśmy z miejsca jak wiatr.

Kiedy się obejrzałem za siebie, zobaczyłem jak Eugeniusz podnosił ze śniegu porzucony bukiet Kseni. Stefan spokojnie przyglądał się kryształkom szronu osiadłego na żelaznej balustradzie wschodów.

Cały tydzień po balu mieliśmy czas szkaradny, mróz zwolniał zupełnie, ale zato wiatr zachodni napędził nieprzejrzane zastępy chmur ciężkich deszczowych, lejących prawie bez przestanku potoki wody na ziemię brudną i rozgrzęzłą. Drogi niedawno jeszcze usypane wyborną sanną, teraz popsuły się najfatalniej, prawie wywlec się nie było można z błota, na czem ruch karnawałowy ucierpiał znacznie. Na dzień ś-go Ildefonsa, przypadający dwudziestego ósmego stycznia, naznaczona była druga z kolei zabawa u Radzcostwa Leskich w Obertynowie: nie wiedzieliśmy przecież czy przyjdzie do skutku, gdyż rzeczki mniejsze i strugi nie mogąc pomieścić w swych korytach nawału wody napływającej gwałtownie z ciągłych deszczów i ogromnej masy nagle topniejących śniegów, wylewać poczęły gwałtownie, i lękać się było można aby Olszanka, rzeczka nadzwyczaj kapryśna i burzliwa przepływająca naszą okolicę, nie rozpoczęła na czas zabawy swojej dorocznej pohulanki, zamieniając gościnny dom Radzcostwa w wyspę odciętą na czas pewien od reszty świata.

Pod taki czas smutny i błotny, niewesoło bywa na wsi, u nas też było teraz ciszej i spokojniej niż zwykle. Od czasu fety w Łękawie nikt z obcych nie zajrzał do nas, trudno też było wychylić się gdziekolwiek po za obręb domu, przy pogodzie tak okropnej, i siedzieliśmy w czterech ścianach naszego pałacu jak w więzieniu patrząc z pewną tęsknotą na grube smugi deszczu spływającego nieustannie po szerokich szybach i powiększające się coraz czerwonawe kałuże na zwirze po pod oknami. Wielka to prawda, że powietrze wywiera wpływ ogromny na ludzką naturę — to jednostajne szare sklepienie nieba nad naszemi głowami, ta błotnista powierzchnia ziemi pod naszemi stopami sprawiły, że i w umysłach naszych zrobiło się jakoś szaro: czuliśmy się przygnębieni, smutni, zniechęceni. Panie nasze przygotowując sobie toalety na zabawę, krzątały się około nich nie tak ochoczo, jak zwykle nie wiedząc naprawdę czy potrzebować ich będą i czyniąc to wszystko więcej na wszelki wypadek, niźli w nadziei balu który stawał się coraz więcej problematycznym, szczególniej, że od wody dochodziły nas ciągle coraz gorsze wieści, a deszcz zamiast ustawać, poprawiał się jeszcze, my zaś obaj z księdzem Osowickim przesiadywaliśmy dnie całe przy partyjce gierylasika do którego werbowaliśmy sobie to pannę Rewińską, to nauczycielkę, to wreszcie Ksenię, która jedyna z naszego towarzystwa zachowała swój zwykły humor, którego jej ani zapłakane niebiosa, ani perspektywa popsutej zabawy odebrać nie były w stanie.

Pewnego posępnego poobiedzia, zbliżającego się kolorytem więcej do szarej godziny niż do jasnego dnia bożego, siedzieliśmy zaczynając trzeciego robra, do którego sama zaprosiła nam się Jenerałowa. W salonie było cicho, głucho, słychać tylko było szelest kart, a po za oknem szum wiatru i smutne krakanie wrony pomiędzy krzakami w ogrodzie.

— Cóż, panno Kseniu, czy nie wypatrzyłaś tam jakiego skrawka jasnego nieba? zapytałem moją faworytkę, która siedząc przy oknie opuściwszy książkę, którą czytała, na kolana, już blizko od godziny przyglądała się grubym bryzgom deszczu uderzającym monotonnie po rynnach i szybach pałacowych.

— Buduj korab' dziadku Noe, będziemy pono pływali, odparła mi niedbale nie odwracając oczu od ciężkich chmur przeciągających tuż nad szczytami starych białodrzewów ocieniających dom dokoła.

— To gorzej, że nie pojedziemy na zabawę, ozwała się od robótki jakiejś panna Skarzyńska.

— Straszne zmartwienie — roześmiała się moja Ukrainka — równające się kłopotowi pana Seweryna, żeby mu stogów z sianem woda nie zabrała! Pójdź Helo — dodała powstając, zagrajmy co na te smutki, może się prędzej wypogodzi na niebie a przynajmniej w umysłach.

— Otóż to — rzekłem — powiedziane rozsądnie, szczególniej jak na takiego pustaka, jak panna Ksenia. Właśnie to obowiązek pań rozjaśniać nam obecnością swą dom pod taki ciemny, smutny czas zimowy.

— Otóż to — odparła mi dziewczyna z komiczną powagą — patrząc na takie skwaszone miny, mimo woli się poważnieje i przychodzi do poczucia obowiązków.

— No, idźcie już, idźcie — ozwała się Jenera-

łowa — zagrajcie co wesołego, a mimochodem każcie Antoniemu aby nam tu rozpalił ogień na kominku.

Niedługo też zabłysnął nam wesoły ogień na szerokim, ozdobnym pięknemi gipsowemi figurami kominku, i skoro z salonu rozległy się lekkie tony poleczki, zrobiło się nieco weselej w naszem kółku i gawędka a nawet żartobliwe koncepta coraz częściej odzywać się poczęły. Nasze panny grały nam skoczne polki, walce, dziarskie mazury i ogniste czardasy węgierskie, wkrótce przecież przeszły do poważniejszej muzyki i zabrzmiały wspaniałe tony poloneza Chopina, dalej kilka rzewnych melodyjnych mazurków a nakoniec, czy znużywszy się tą hulaszczą z początku muzyką, czy uległszy wpływowi smętnego pokrywającego się coraz ciemniejszemi chmurami nieba, panna Skarzyńska dobierać poczęła jakieś tęskne, przyciszone akordy, i obie razem nieuczonemi, ale młodemi i świeżemi głosami, zaśpiewały jakąś piosenkę Lenartowicza, do której sobie same dobrały melodyą prostą, swojską, przypominającą granie fujarki w księżycową noc majową, ale nadającą się wybornie do myśli poety i bez słów już mówiącą: że wschód milszy niż południe. I jakoś też gawędka, która ożyła na chwilę przy płomiennych dźwiękach czardaszowych, przy tej rodzimej, prostej melodyi poczęła się rwać nanowo i mimowoli złożywszy karty zasłuchaliśmy się w piosnkę, która nadpływała do nas nizkiemi tonami:

„...Tam daleko chatka znana,
Za tem morzem, za tym krajem,
Świeżym piaskiem usypana,
Umajona świeżym majem...”

Był to śpiew jakby stworzony do marzenia przy kominku, wszyscy też zapatrzywszy się w błękitnawe płomyki błąkające się i gasnące zwolna po czerwonych rozżarzonych węglach, pozwoliliśmy się owładnąć jakiejś spokojnej, słodkiej zadumie puszczając myśli samopas każde w swoją stronę. Ale jeszcze nie przebrzmiała ostatnia zwrotka śpiewu, w której słuchacz każdy odnajduje swoje młode przeżyte lata, i wszystko stare, dawne, znajome sobie:

„...I przyjaciół wiernych gronko,
I ten stary dąb przed sionką,
I ten krzyż za kołowrotem...”

usłyszeliśmy lekkie klaśnięcie z bicza i ujrzeliśmy wjeżdżającą w bramę karetkę w cztery piękne, zmoczone i zabryzgane błotem po brzuchy kasztanki.

— To Nina! — zawołała żywo Jenerałowa. Poczciwa Nina na taką drogę i niepogodę!

— W istocie to hrabianka Nina — potwierdziłem powstając na przyjęcie przybywających gości.

Tymczasem kasztanki wraz z karetą wbiegły już na podwórze i osadziły się przed drzwiami. Przechodząc około okna widziałem jak z powozu wyskoczył najpierw Mirski, na którego widok zadziwiłem się, sądziłem bowiem że oddawna opuścił już nasze strony. Za nim wesoła, malutka hrabianka, która już przez okno kłaniała nam się ze śmiechem i zwykłem ożywieniem.

(*D. c. n.)*

---

# NIEBOSZCZYK ROUSSELOT.

HUMORESKA

**KAROLA DESLYS.**

Przekład z francuzkiego

**E. H.**

---

## I.

W obecnym czasie szerzy się pewien rodzaj epidemii, której jeszcze zapobiedz nie zdołano: nazwać by ją można *gorączką złota*. Nawet w młodych ludziach wyniszcza ona wszelką tkliwość, wiarę, szczęście i...

Lecz poco ten wstęp? Jeśli w tem opowiadaniu mieści się nauka moralna, niechże sama przemawia za siebie.

Anatol Rousselot nie był z gruntu złym chłopcem, ale pragnął zostać milionowym panem... jak wszyscy. Nie wyobrażał sobie szczęścia bez majątku. Bogactwo jedynem było jego marzeniem, miłością jedyną. Biedny Anatol... A miał 25 lat! Lecz cóż chcecie? wypadek fatalny zrządził, ze miał zajęcie u agenta giełdowego: w takiej atmosferze szybko się ludzie starzeją.

Przytem, wszyscy z którymi przestawał, myśleli tak samo, prócz jednego, starego towarzysza, prawdziwego jego przyjaciela, Prospera Desroches.

Był to artysta, malarz, namiętnie kochający sztukę, zadowolniony ze swej mierności, cały pracy i nadziei oddany, z sercem przystępnem wszelkiemu wzruszeniu, słowem chłopak prawdziwie młody a przedewszystkiem prawdziwie szczęśliwy. Próżno go Anatol namawiał by się również puścił w spekulacye pieniężne; próżno ofiarował się sam, za zaoszczędzone przez niego pieniądze, robić operacye finansowe.

— Nigdy — odpowiadał mu stanowczo Prosper; niechbym tylko raz wszedł do sali giełdowej, żeby mi się jeden z moich talarów tak nagle zamienił na sztukę złota, możeby i mną owładła gorączka: nie chcę. Jeśli fortuna uśmiechnąć mi się zechce, nie takim głupi żebym się od niej odwracał, lecz niech mi ją zjedna praca i chwała: jak nie, to nie! Jestem artystą, zostanę nim zawsze!

A potem strofując z kolei Anatola, mówił:

— Strzeż się! masz dopiero żądzę bogactwa; jesteś jeszcze młodym i dobrym. Lecz co to będzie gdy się twój sen ziści? Strzeż się aby pierwsze sto tysięcy franków, które zdobędziesz, nie zamieniły ci serca w bryłę złota! Nie kryję się, że tej chwili czekam z niepokojem. Cokolwiekbądź zajdzie, nie przestanę być twoim przyjacielem; lecz kto wie? może ty wtedy nie zechcesz być moim? Obaczymy.

— Niechże co najprędzej nadejdzie próba, rzekł Anatol, a wtedy się przekonamy.

W chwili gdy tych słów domawiał, drzwi skrzypnęły, uchyliły się i w nich ukazała się pocieszna głowa odźwiernego.

— List do pana Rousselot, rzekł.

— Zkąd? zapytał Anatol.

— Z Normandyi, o ile się zdaje; nosi pieczęć Szerburga.

— Nikogo nie znam w tamtych okolicach.

— List jest frankowany, proszę pana.

— No to dawaj prędzej — i niedbale rozdarł kopertę.

Lecz zaledwie przebiegł pierwsze słowa, krzyknął głośno i papier zadrżał mu w ręku.

— Cóż ci to? spytał Prosper.

— Masz, czytaj! I twarz Anatola zajaśniała radością.

Prosper zdumiony, wziął papier do ręki. Na końcu stał podpis: Pichard, plenipotent. List był następującej treści:

„Po długich poszukiwaniach udało mi się nareszcie wynaleźć pana; śpieszę donieść iż krewny pański, Mateusz Rousselot, zmarł, zapisując panu cały swój majątek. Śpiesz się, to moja rada, ponieważ znajdują się tu w pobliżu krewni, chciwi bardzo i do procesów skorzy. Sukcesya trudy opłaci, ponieważ wynosi około 20-tu tysięcy liwrów rocznego dochodu co najmniej.”

— I cóż ty na to? rzekł wyniośle Anatol, uspokoiwszy się już nieco; otóż nadchodzi godzina której życzyłeś... godzina próby... a pierwszem pragnieniem jakie się we mnie budzi, jest chęć zabrania cię do dóbr moich. Czy przystajesz?

— Z całej duszy! zawołał Prosper wesoło. Polecę tylko zabrać mój artystyczny pakunek i jestem na usługi jaśnie pana.

— Śpiesz się; jedziemy dziś wieczorem.

W rzeczy samej, w kilka godzin później, dwaj przyjaciele byli już w drodze.

## II.

Przypisek w liście wskazywał jakiej się drogi trzymać należało, radził przytem zawiadomić telegrafem plenipotenta o dniu przyjazdu, aby mógł na stacyę kolei wysłać powóz zmarłego dla nowego dziedzica.

Nazajutrz rano podróżni nasi byli w Hawrze i z tamtąd parostatkiem udali się do Szerburga. Podróż mieli zachwycającą. Była zaledwie trzecia godzina gdy zawinęli do portu.

Tłum się tłoczył na wybrzeżu. Nieco dalej czekało powozów kilka, jedne prywatne, inne do najęcia.

— Jeden z tych powozów, rzekł dumnie Anatol musi być moim. Zobaczymy czy też nasi ludzie odgadną we mnie swego nowego pana.

Zarzucono ruchomy mostek, podróżni śpiesznie opuszczali parostatek.

Nasi dwaj przyjaciele zostali ostatni. Według wyrażenia Anatola, czekali aż się do nich zbliży potężny ugalonowany lokaj zapytując co rozkażą.

Wszyscy służący oczekujący na wybrzeżu, poznali szybko swoich panów; karety znikły jedna za drugą. Odjechały i omnibusy, odeszli piesi podróżni, tak iż nakoniec zostali tylko nasi dwaj przyjaciele.

Mylę się: na rogu sąsiedniej ulicy stał jeszcze staroświecki powóz, zaprzężony parą tęgich fornalskich koni, dojadających skromnie wiązkę siana, rzuconą przed niemi na bruku. A tuż koło nich woźnica, który pewnie przyjechał tym niepoczesnym ekwipażem, przechadzał się zwolna wzdłuż i w szerz.

Był to poczciwiec, lat około sześćdziesięciu mieć mogący, z nieco złośliwym uśmiechem i mrugającemi oczyma. Z ubioru wyglądał na zamożnego wieśniaka, z jego spojrzenia i zachowania się wnosić było można, że i on na kogoś czeka.

W rzeczy samej, gdy już w miejscu wylądowania nie było nikogo, prócz naszych dwóch przyjaciół, którzy zdumieni spoglądali jeden na drugiego, woźnica zbliżył się ku nim i rzekł:

— Jeden z panów jest zapewnie pan Anatol Rousselot.

— To ja, mój poczciwcze, rzekł spadkobierca.

Potem, wskazując na pocieszny, stary powóz, zapytał:

— A toż co? Czy nie jest to czasem kareta kuzyna Mateusza?

— Jego własny powóz, wielmożny panie, a jeśli panowie życzą zdążyć na obiad, radziłbym niezwłocznie zająć w nim miejsce, gdyż mamy trzy dobre mile drogi po nad skalistem wybrzeżem.

Dając te objaśnienia jak najgrzeczniej i z uszanowaniem, stary Normandczyk przypatrywał się z pod oka z wielką uwagą dwóm podróżnym, szczególniej Anatolowi.

Ten się zwrócił do Prospera i z pogardliwym, wyniosłym ruchem rzekł:

— Piękny początek! Jeśli reszta do tego podobna, w cóż się obrócą moje złudzenia?

— Ba! zrzuć swoją pychę do morza, zażartował artysta; myśl o rzeczach pozytywnych, mój kochany, będziesz w swoim żywiole. Co do mnie, ten powóz bynajmniej nie razi mi oczu, zadowolniłbym się nim chętnie, jeślibym miał zaszczyt być jego spadkobiercą; jest to prawdziwa kareta z czasów Ludwika XIII! Zdaje mi się, gdy do niej wsiadam, że się nazywam Van-Dick.

— Ja w niej wcale nie wyglądam na Rotszylda. Ha, cóż robić? Jedźmy!

Wieśniak czekał tylko na te słowa; klasnął z bicza, ciężkie konie ruszyły stępa i powóz potoczył się po prześlicznem górzystem wybrzeżu, które się wznosi nad Szerburgiem.

Co kilka minut prawie zmieniał się krajobraz, droga się rozszerzała i z pewnym rodzajem zalotności okolica ukazywała swe powaby.

Prosper zachwycał się i unosił; Anatol ganił wszystko i drwił z każdej rzeczy.

— Proszę pana, odezwał się nareszcie woźnica, który widocznie coraz bardziej musiał być niezadowolnionym ze złego humoru i próżności swego nowego dziedzica, proszę pana, od sześćdziesięciu przeszło lat nie odstępowałem pana Mateusza, a szanując jego pamięć, zmuszony jestem powiedzieć panu, że jeśliby staruszek przypadkiem mógł ożyć nanowo, nie radby był pewnie z wdzięczności i z postępowania swego spadkobiercy... za pozwoleniem pańskiem. Być może iż ten powóz nie jest nowomodny, te konie nie są czystej krwi angielskiej; lecz właśnie poprzestając na tym staroświeckim powozie, pan Mateusz potrafił zebrać fortunę w ziemi, dającą owe 20 tysięcy liwrów dochodu, które dziś przejdą na własność pana.

— Człowiecze!...

— Człowiecze! niech i tak będzie. Lecz co powiedziałem, prawdą jest, bardzo mi przykro jeśli to pana gniewa; aleśmy tacy wszyscy z nadwybrzeża.

Anatol pokonał gniew. Prosper starał się zmienić rozmowę.

— Ach! więc jesteście z departamentu La Manche? rzekł.

— Tak, panie.

— A niechże was! to wam powinszować, boć to piękny kraj.

— Prawda, panie, rzekł z dumą stary.

A ponieważ wjechali na szczyt pagórka, wstrzymał swoje konie.

III.

Ze wzgórz, które się wznoszą nad Szerburgiem oko się zagłębia w doliny zielone, rozrzucone dokoła, z których każda styka się to z arsenałem, to z portem, to znowu z morzem, a na wybrzeżu wznoszą się tu i owdzie ufortyfikowane wysepki, bastyony i wieżyczki o ściany których fale morskie uderzają nieustannie. Czyto przy blasku księżyca, srebrzącego wody oceanu, miasto i doliny, czy gdy je słońce złoci o wschodzie, lub ognistą łuną wieczorem oblewa, dla podróżnego, który z tego amfiteatru naturalnego spogląda na ten widok, jest to obraz cudowny; jeden z najszczytniejszych krajobrazów na który się złożyła wszechmocność Boża i geniusz człowieka.

Widok ten wywołał z ust Prospera okrzyk zachwytu i łzy radości. Anatol zaledwie odwróciwszy głowę, rozpoczął znowu rozmowę z woźnicą zakrawającym na wieśniaka.

— Jakiżeście przy moim kuzynie pełnili obowiązek? zapytał.

— Trudno to określić jednem słowem, odrzekł starzec z dziwnym uśmiechem. Byłem u niego niby rządzcą, niby sługą, a najwięcej jego przyjacielem.

— W takim razie znaliście go dobrze?

— Jak samego siebie.

— Powiedzcież mi, proszę... jakże się nazywacie?

— Jan.

— Jakto, tak krótko?

— Pan Jan, jeśli się to wielmożnemu panu nie zdaje za długo?

I rzuciwszy chytre spojrzenie, puścił konie kłusem.

— Proszę was, panie Janie, zaczął znowu Anatol, powiedzcie mi, jakiegoto rodzaju człowiek był kuzyn Mateusz?

— Ach, mój Boże, był to sobie prosty, szczery człowiek... ot poczciwiec w takim jak ja rodzaju, z przeproszeniem pana. Nawet znajdowali ludzie żeśmy do siebie bardzo podobni. (Tu stary zażył zwolna tabaki.) Tylko że on miał więcej nauki ode mnie prostaka a szczególniej więcej ogłady, bo w młodości bywał w Paryżu, gdzie, jak powiadają ludzie, opalił sobie skrzydła. Lecz na tyle miał rozumu, że powrócił z tą odrobiną pierza która mu została, zabrał się dzielnie do roli, a przy pomocy Bożej przysporzył znacznie dobra które mu się po ojcu dostało.

— Ależ to wybornie... Mówcież, proszę, dalej panie Janie, zachęcał szczęśliwy spadkobierca.

Artysta nie przyjmował udziału w tej rozmowie zachwycony niezwykłą pięknością widoku; w tej chwili podziwiał przez rozpadlinę skały przeświecającą wielką przestrzeń morza, na które właśnie padać zaczynały przepyszne blaski zachodzącego słońca.

Pan Jan tymczasem bez najmniejszej ceremonii zapalił sobie cygaro, które mu podał Anatol i zaczął mówić dalej:

— Tak, moi panowie, był to robotnik nielada! A przytem człowiek wstrzemięźliwy, lecz nie skąpy, broń Boże! Oszczędność jego była takiego rodzaju że nietylko nie zbierał z pola ostatniego kłosa, żeby się biedny nie miał czem pożywić, lecz dbał tylko o to żeby zbiór powiększyć, zebrać go w suchą porę i potem dobrze sprzedać we właściwym czasie. Takim sposobem Mateusz Rousselot stał się bogaczem na całą okolicę, a gdy na starość zapragnąwszy spoczynku, wydzierżawił swoje grunta, czysty dochód jaki z nich pobierał, wynosił jak panu pisano dwadzieścia tysięcy liwrów rocznego dochodu.

— Co raz lepiej, zawołał Anatol.

— Patrzcież państwo jacy to dziwni są ludzie? Skoro pan Mateusz nic już robić nie potrzebował, tylko używać swego dobra w spokoju, zaczął się nudzić, żałować że się nie ożenił, że nie miał dzieci, wnuków, rodziny żadnej. Pewnego wieczora aż mu łzy w oczach stanęły, jak mi zaczął mówić o tem, było to jesienią przeszłego roku, pamiętam jakby dziś, pod starą jabłonią. Mówię panom, że nic przede mną nie ukrywał i radził się mnie w każdej rzeczy.

— Rousselot, rzekłem mu więc, za stary dziś jesteś żeby myśléć o tem; co się stało—nie odstanie. Lecz to czego ci braknie posiadają inni. Masz krewnych... dalekich, co prawda, lecz dość kochać żeby być kochanym. Wezwij więc wszystkich, którzy noszą twoje nazwisko, z twojego pochodzą rodu, poznaj ich, zbadaj, zrób wybór, cóż u licha, niepodobna żebyś w takiej liczbie krewnych nie znalazł syna lub córki, którzy na starość otoczyliby cię weselem i miłością.

— Rada była dobra, zawyrokował Anatol.

— Wyborna! przytwierdził Prosper.

— Na nieszczęście rzekł stary, ze wzrastającem wzruszeniem i drżeniem w głosie, było już za późno! Wkrótce po tej rozmowie, na początku zimy, poczciwy Rousselot zaczął słabować i nie mógł już w inny sposób okazać panu swych zacnych chęci, jak przez zapis w testamencie. A szkoda jednak, panie Anatolu; byłbyś go pan pokochał napewno. Dobry to był staruszek, wierz mi pan; rzeźwy, pobłażliwy, z sercem jeszcze młodem, życie przy nim słodkiem by było. Ha, cóż począć? musimy dziś tylko żałować, że się te marzenia nie spełniły!

— Ma się rozumiéć, że to szkoda, wielka szkoda... rzekł Anatol przez grzeczność, a wyrazy jego zbyt obojętnemi wydały się panu Janowi, bo w wyrazistych oczach starego błysnął jakby wyrzut.

— Panie Janie, zawołał nagle artysta z wybuchem otwartości, która była właściwością jego charakteru, nie znasz pan też czasem na wybrzeżu jakiego innego kuzyna Mateusza, ale żywego... któryby potrzebował syna?... Bom ja sierota mój kochany panie, a taki ojciec przydałby mi się ogromnie!

— W obecnej chwili, rzekł stary z lekkiem wzruszeniem, żadnego nie mam na widoku, lecz kto wie... możnaby poszukać...

— Prędkoż staniemy na miejscu? spytał nagle Anatol.

— Za dziesięć minut przyjedziemy, odrzekł Jan, poganiając konie.

(*D. c. n.*)

## Do Redakcyi „Tygodnika Mód".

Kilka miesięcy temu, posłaliśmy do Redakcyi list śpiewaczki naszej panny Maryi P..., pisany na pokładzie okrętu Skang-hoi; długi czas upłynął od pierwszego do drugiego jej listu, gdyż potrzeba trzech miesięcy na zamianę korespondencyi. Otrzymawszy drugi list od przyjaciółki panny P... udzielamy go natychmiast Czytelniczkom naszym:

*S. D*

*5 Marca 1882 r. Na statku Gang-Tze.*

Nie mogłam zaraz odpisać na twój liścik a to z różnych powodów. Najpierw, odebrałam go w chwili prób i przygotowań do Fausta, które mi zabrały czas wszystek, a potem nadeszła dla nas przykra okoliczność, bankructwa naszego *impresaria*. Była to w rzeczy samej okropna chwila! Aby cię zbytecznie nie zatrwożyć, powiem ci odrazu, żeśmy weszli w układy z nowym i nic nie stracili na zamianie. W tej chwili o wiele nam lepiej, gdyż nowy *impresario*, człowiek bogaty, nie zalega w kwartalnych wypłatach. Daj Boże aby to mogło potrwać długo.

Udajemy się teraz do Hong-kong; pobyt nasz tam zależyć będzie naturalnie, od tego jak pójdą interesa.

W Skang-hoi było nam dobrze; jedyną przykrość sprawiały nam intrygi pewnej artystki osiedlonej tam z mężem, która dała nam się dobrze we znaki. Ja miałam kilka domów znajomych, te zajmowały się mną bardzo serdecznie i uprzyjemniały tam mój pobyt. I tak naprzykład, mimo że to nie była wcale pora kwiatów, miałam przecież co parę dni świeży bukiet kamelii, a codzień karetę na spacer—rzecz to bardzo przyjemna! Dzięki Bogu, podobałam się publiczności; zawsze mnie przyjmowano oklaskami jak tylko wchodziłam na scenę. Śpiewałam *Trubadura*, *Lukrecyą Borgię*, *Bal Maskowy* i *Fausta*. Faust był ostatnim; na tem przedstawieniu otrzymałam trzy bukiety i oklasków dowoli. Posyłam ci krytyki z trzech pierwszych oper, ostatnią z Fausta poślę ci później.

*9 Marca. Hong-kong.*

Szalony ból głowy przerwał mi pisanie listu, tak że go dopiero kończę w Hong-kong. Niepodobna mi było pisać w pierwszej chwili, bo instalacya kilka dni nam zabrała. Najprzód stanęliśmy w pierwszym hotelu, trudno opisać co tam za nieczystość i co za drożyzna! Jakby z łaski, płaciliśmy od osoby, po trzy dolary dziennie, to jest 15 franków; jedzenie okropne, najmniejszej w niczem wygody. Teraz znaleźliśmy dom prywatny, obszerny, widny; ja mam pokój bardzo ładnie umeblowany, wprost teatru, z widokiem na góry i na morza, z werendą która cały dom otacza. Różnica klimatu ogromna; tu już nie znają pieców, ciepło zupełne, chodzimy bez okryć, wszędzie zielono, mnóstwo kwiatów. Żałuję że nie mogę ci posłać jednego z dwóch bukietów, które właśnie stoją przede mną w moim pokoju, jeden z samych róż, drugi z rezedy, heliotropu i gwoździków. Odebrałam je we dwie godziny po przyjeździe do Hong-kong, gdyż moi znajomi z Skang-hoi, chcieli abym została na nowem miejscu przyjęta kwiatami, co przyznaję, wielką sprawiło mi przyjemność. Próby Trubadura rozpoczęte już, idą dobrze; w sobotę pierwsze przedstawienie. Znów będą nowe *emocye*, ale ja nie czekam z moim listem, bo statek jutro odchodzi, więc w przyszłym liście o tem ci pisać będę.

W Skang-hoi miałam kilka wieczorów nadzwyczaj świetnych. Oprócz oklasków i wywoływań, otrzymałam kilka bardzo ładnych upominków; ostatni medalion złoty z perłami i rubinami w stylu renaisance; miła to będzie dla mnie pamiątka z wędrówki tak dalekiej.

Chciałaś aby ci przysłać coś chińskiego, a więc posyłam ci afisz z teatru z napisem chińskim—bo kwiaty tu wszystkie, takie same jak nasze, a to będzie rzecz prawdziwie chińska. Szkoda że w liście Chińczyka posłać nie można, bo myślę że to sprawiłoby ci prawdziwą przyjemność, a tu gdzie ludzie żadnej nie mają wartości, byłby to najtańszy prezent...

*12 Marca 1882 r. Hong-kong.*

Dosyć że było przeznaczeniem mego listu, aby był długi i zawierał wszelkie szczegóły, gdyż statek do Europy odchodzi dopiero jutro, więc choć z przyczyny próby, musiałam go przerwać, dziś pośpieszam z dokończeniem, dodając szczegóły wczorajszego przedstawienia. Otóż wystąpiliśmy z Trubadurem, bo na karcie przeznaczenia mego napisane jest, iż zawsze w tej roli debiutować powinnam i ona mi szczęście przynosi. Doprawdy, nie mogę się skarżyć na odśpiewanego Trubadura; znów wieczór wczorajszy był dla mnie prawdziwie świetny i pełen zadowolenia. Teatr był przepełniony, przedstawienie szło dobrze, wiele też otrzymałam oklasków, za każdym kawałkiem, za każdą nieomal frazą. Szkoda że dzienniki jutro dopiero wychodzą, bo posłałabym ci zaraz wypis z otrzymanej krytyki, która, spodziewam się że będzie niezłą, sądząc przynajmniej z oznak zadowolenia publiczności. Zaraz po pierwszym akcie, miałam kilka wizyt, które mi przedstawiał konsul austryacki, a nawet komendant placu raczył złożyć mi swoje uszanowanie. Gdybyż karyera nasza zawierała same tylko te przyjemności, jakie się otrzymuje na scenie, jakże byłaby miłą! Ależ to życie zakulisowe, te intrygi jakie snują właśnie ci, którym czynisz wiele dobrego i którzy w oczy są najlepszymi przyjaciołmi twemi, te intrygi, powtarzam, straszne są! A jak to wszystko męczy i boli, droga moja, mogę ci to powiedzieć z własnego doświadczenia. Weź sobie za normę nigdy nikomu nie wierzyć, bo jeśli dobrze czynisz, nie pochwalą cię przez zazdrość. Jeżeli zaś tak, jak ja naprzykład wczoraj, zdobędziesz więcej poklasków od innych, wnet półsłówkami dadzą ci do zrozumienia, że musisz być protegowaną, a za to nie możesz się nawet obrażać, gdyż narobisz sobie nieprzyjaciół. Jeżeli wreszcie nie jesteś przy głosie i śpiewasz gorzej niż zwykle i mniej zdobędziesz oklasków, wtedy chwalą cię, litując się nad tobą, że nie możesz zaśpiewać lepiej. Prawda, jaki to ładny obrazek naszej karyery? To odwrotna strona medalu, ale prawdziwa. Nie przesadzam nic, nie życzę ci przecież, abyś o tem przekonała się sama!

Ale dosyć już tego, lepiej pisać o Hong-kong. Onegdaj odbyliśmy wycieczkę w stronę cmentarzy. Powozów konnych nie ma tu prawie wcale, tylko albo wózki o dwóch kołach, ciągnione przez ludzi, którzy biegną jeżeli nie prędzej, to równo z końmi, albo też lektyki, rodzaj bambusowych krzeseł, na dwóch długich kijach, niesionych na ramionach dwóch Chińczyków. Hong-kong to wyspa złożona z samych gór i skał, położenie prześliczne, klimat bardzo ciepły ale wilgotny. Palm mnóstwo, równie jak ogromnych bambusów. Kolonia angielska utrzymana bardzo starannie, śliczny ma ogród i kwiatów bardzo wiele, słowem niczego tu nie brak, potrzeba mieć tylko dużo dolarów, a i tu życie przyjemnie spędzać można.

Prześliczne tu są cmentarze chrześciańskie w dolinie, pełne mostków i wodotrysków, bo to wszystko mieści się wśród gór i skał, poprzerzynanych strumykami; wyżej są indyjskie, a najwyżej arabskie. Otóż z jednego z tych zerwałam listek i posyłam go tobie. Chińczycy cmentarzy nie mają, chowają swoich umarłych w skrzyniach metalowych, które wsuwają w murowane budki, stawiane przy samych domach, albo po ogrodach lub w polu, tak że każdy ma umarłych swoich na własnej posiadłości.

My tu zapewne zabawimy z jakie sześć tygodni, adresuj list do Hong-kong, bo ja zupełnie nie wiem co dalej będzie i w którą stronę obrócimy się znowu.

---

Afisz przysłany całkiem niepodobny do naszych; jest to cienki świstek z jedwabnego papieru, w kolorze purpurowym, długości 28, szerokości 10 centimetrów, nakreślony czarnemi literami rozmaitej wielkości.

Angielski dziennik „North China Daily News" z wielkiem uznaniem wyraża się o utalentowanej artystce naszej. Przytaczamy wyjątki z nadesłanych wycinków.

*27 Grudnia 1881 r.*

Primadonna, signora Maria Lubicci, ma bardzo pięknie wyrobione i melodyjne soprano, wybornie przedstawiła rolę Eleonory w Trubadurze. Po różnych scenach kilkakrotnie ją przywoływano. Trio z tenorem i barytonem dało pobudkę do grzmiących oklasków. Te wywoływania i oklaski powtarzały się wielokrotnie aż do końca opery.

*4 Stycznia 1882 r.*

Rola Lukrecyi Borgia wybornie była utrzymaną przez signorę Maryą Lubicci. Artystka ta odśpiewała z wielkiem uczuciem najtrudniejsze arye. Akcya jej w patetycznych scenach silna i głęboko poruszająca.

*11 Stycznia 1882 r.*

W Balu Maskowym signora Lubicci zebrała świeżą wiązkę wawrzynów za pięknie i sumiennie oddaną rolę Amelii.

---

## NASZA KRYTYKA.

Czytając liczne rozbiory i krytyki rozrzucone po różnych pismach naszych, tak codziennych jako też tygodniowych i miesięcznikach, przychodzimy ostatecznie do tego przekonania, że krytyki i rozbiory pomieszczane w tych pismach są niczem innem jak tylko wynikiem życzliwości lub też z góry powziętej niechęci krytyków dla krytykowanego. Z bardzo małym wyjątkiem, ograniczającym się zaledwo do jednostki, nasze krytyki niczego nie uczą — i są mniej lub więcej stronnicze a zawsze pisane, wedle nas, z góry powziętej zasady, krytykowania wszystkiego co nie wyszło z pod pióra tego lub owego, które nie hołduje zdaniom i przekonaniom krytykujących, które stojąc na uboczu nie stara się ani o ich względy ani o ich poparcie. Wskutek też tej solidarności, że tak powiem pp. krytyków — wszystkie krytyki — noszą na sobie cechę jakby jednomyślnej bezbarwności zaprawianej mniej lub więcej ckliwym sosem rozumowań i poglądów osobistych, będących bardzo często, niemal zawsze w sprzeczności z naturą krytykowanej pracy autora nienależącego, że tak powiem,

do „konfraterni wzajemnej adoracyi.” Inaczej traktowani są ci, których krytycy *à tout prix* postawić chcą na piedestale *znakomitości*, którzy różnemi drogami zdołali sobie zyskać łaski—którzy adorując wszechwładnych krytyków, w całej pokorze biją czołem przed niemi. Rozbiory dzieł, prelekcyi i t. d. pisane i głoszone przez naszych krytyków, jak to u wstępu powiedziałem, niczego nie uczą i są bardzo często a niemal i zawsze nie tylko zniechęcające piszącego do dalszej pracy — lecz nawet, gdyby oprócz dobrych chęci posiadał i talent, to odmawiając mu go, odmawiają wszelkiej zdolności, zabijają w nim takowe lub też przeciwnie — hołdując więcej popularnemu imieniowi lub innym szerszemu ogółowi nieznanym zaletom, stawiają odrazu piszącego na piedestale *uczonego*, *mistrza* i t. d.

Bez zaprzeczenia, my krytyków nie mamy! A jednak z tymi, którzy na krytyków pozują — musimy się rachować. Smutne to -- lecz niestety, prawdziwe. Tacy Szujscy, Tarnowscy, Kraszewscy, Sienkiewicze, Bałuccy i t. d. mogą napisać i wygłosić wszystko co im się rzewnie podoba, może to być nawet bez jakiejkolwiek artystycznej wartości, nie mieć formy właściwej, jednak krytycy nasi o tem wszystkiem zamilczą a nawet, co więcej, rozwodzić się będą długo i szeroko nad mistrzowskiem uchwyceniem i przedstawieniem danego przedmiotu; niechże kto mniej znany i nieprotegowany przez krytyków, napisze rzecz o wiele nawet lepszą — poczytniejszą i t. d., to można być przekonanym, że pp. krytycy jak kruki rzucą się na tę ofiarę — i odsądzając ją od czci, wiary, sumienia, nauki, zdolności i t. d., poszarpią, poćwiartują w kawałki i wszem wobec i każdemu z wyżyn swego stanowiska ogłoszą, że ten a ten, co to a to napisał, nie ma nietylko talentu — lecz nawet nie zna pierwszych zasad, wedle których traktować był winien dany przedmiot. Zdarza się również często że krytycy nasi zapominają o tem co sami poprzednio głosili, i mówiąc o jednym i tym samym przedmiocie, raz wychwalają go pod niebiosa — drugi raz zaś potępiają. Widać, że to zależy albo od usposobienia panów krytyków — albo też od nader nieraz krótkiej ich pamięci. Również bardzo często zdarza się, że krytyki pisane są o wszystkiem innym, tylko nie o przedmiocie, który podlegać ma rozbiorowi—i tu krytyk szerokie ma pole popisywać się przed szeroką publicznością ze swą erudycyą, ze swemi wiadomościami, głęboką, jak się zdaje, nauką i t. d.—to wszystko jednak niczego nie naucza ani czytającej publiczności ani też krytykowanego. Dalej są i krytycy, którzy obszernie rozpisawszy się nad treścią danego dzieła, a raczej streściwszy je bez jakichkolwiek komentarzy, orzekają apodyktycznie, bez argumentów — że te a te dzieło żadnej wartości nie posiada. Takie krytyki nie są pisane dlatego, aby wykazać mogły dodatnie lub ujemne strony, lecz dlatego aby wykazały jak największą liczbę wierszy. Zdarza się również i to że w jednym i tym samym piśmie o jednej i tej samej pracy, jednego i tego samego autora, napotyka się dwie krytyki, pisane przez dwóch krytyków — z których jeden dzieło chwali, drugi zaś niemiłosiernie chłoszcze. Otóż w razie takim zachodzi pytanie, której z tych dwóch krytyk dać wiarę—która jest sprawiedliwą a która nie! Wymagać jednolitości krytyk byłoby rzeczą śmieszną — wymagać aby wszyscy byli jednego zdania jest rzeczą niemożebną — lecz zdaje się nam, że czytający mają prawo żądać od redakcyi pism danych, aby co numer zasady swej, zdania swego nie zmieniały. Pismo, które raz chwali, drugi raz gani jakieś dzieło, prelekcyą i t. d., traci nietylko na swej powadze, lecz i na swej wartości moralnej. O człowieku, który często swe zdanie zmienia, mówimy, że jest chorągiewką — lub też że siedzi na dwóch stołkach, ale co powiedzieć o redakcyi, która tak postępuje?

(*D. n.*)

---

# Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

---

*** Nie mając w tej porze ogórkowej ważniejszych wiadomości z kraju, podajemy tu w skróceniu artykuł jednego z dzienników lwowskich, p. n. *Nasze damy, przez starego i stałego adoratora kobiet*. Autor nie mówi tu o Polkach z Królestwa,— artykuł jego odznacza się pod wielu względami surowym ale trafnym sądem, chcemy jednak wierzyć, że sąd ten odnosi się do mniejszej cząstki a nie do ogółu kobiet w Galicyi.

„Ilekroć, pisze on, mówi się u nas o kobietach wogóle, panie nasze odpowiadają zwykle:

„Francuzka? To wietrznica, bez wykształcenia, zawsze prawie niestała, niewierna, kapryśna, zalotna. Włoszka i Hiszpanka? Zazdrosna, złośnica, namiętna, nie zawsze porządna, prędko się starzeje. Angielka? Dumna, sztywna, chłodna, przesadna, kocha głową bo serce ma z lodu, rzadko piękna, rzadziej jeszcze pociągająca. Niemka? Pozioma, bez gustu i dystynkcyi, prostaczka, niepojętna, dobra do gospodarstwa, do robienia wełnianych pończoch i szlafmyc. O innych narodowościach nawet się nie mówi.

„A jakżeby pani określiła Polkę?—zapytasz.

„Nie wypada mówić o samej sobie, ale zdaje mi się, że Polki odznaczają się pięknością, bo łącząc w sobie cechy południa i północy, celują jeszcze proporcyą kształtów ciała, umysłem najgłębszym, najbystrzejszym, najwszechstronniejszym, najrozleglejszą wiedzą, najwznioślejszemi uczuciami. Nikt niezdolny tak się poświęcać, kochać tak bezgranicznie i wiernie, nie ma istoty równej pod względem siły woli, stanowczości, wytrwałości, cierpliwości; żadna kobieta innej narodowości nie ma tyle poczucia piękna, tyle wdzięku, dystynkcyi, poetycznego uroku, żywej wyobraźni, błyszczącego dowcipu, ponętniejszej rzewności i rozkosznej wesołości; tyle królewskiej powagi obok lekkości rusałki, tyle wulkanicznego tajemniczego ognia i zarazem anielskiej słodyczy; takiej biegłości i wytrawności dyplomaty, połączonej z dziecięcą niewinnością...” I tak do nieskończoności wymieni wszelkie możliwe cnoty i przymioty mężczyzn i kobiet wszelkich już narodowości, wszystko co stanowi istotę dziewięciu chórów aniołów, serafinów, cherubinów, sił i potęg niebieskich, a wszystko to się składa aby utworzyć przeciętną Polkę — nie mówiąc już o postaciach wyjątkowych.”

Na sąd powyższy zgodzą się pewnie wszystkie czytelniczki nasze — ale oto co poważa się mówić dalej ów *stary mańtyka*.

„Pomimo wykazów statystycznych wykazujących że w Galicyi liczba osób płci żeńskiej nieskończenie przewyższa liczbę mężczyzn, powiemy śmiało: *że kobiet u nas bardzo mało*.

„Zacznijmy przegląd od sfer najwyższych. Dawna polska *wielka pani* znikła a miejsce jej zajęła *wielka dama*. Wielka pani mieszkała w kraju przechowując wielkie tradycye wielkich rodów, oddana domowi i dzieciom, utrzymywała w domowem ognisku ciepło, które ogrzewało tłumy i świeciło pięknym przykładem. Cnotą i uległością, powagą, słodyczą, podniosłem sercem i umysłem zjednywała sobie cześć męża i świata, była królową w całej pełni majestatu. W razie potrzeb kraju składała mu w ofierze swoje klejnoty i koronę swoją — synów, a królowie schylali przed nią czoła. Gdzież są dziś *takie wielkie panie*, a co najmniej, jakże ich mało!... Znamy tylko *wielkie damy* marnujące czas i pieniądze polskie zagranicą, nie cofające się nawet przed salonami szulerni w Monaco. Dzieci oddają do zakładów zagranicznych, lub pozostawiają na łasce bon, guwernerów i guwernantek, najczęściej francuzek. Iktórażto z takich wielkich dam oddaje klejnoty swe lub choćby znaczniejsze sumy na wielkie cele narodowe lub humanitarne? a przecież wyrzuca dziesiątki a niekiedy i setki tysięcy na pobyt zagranicą, na zadowolnienie swej pychy i próżności. Takie *wielkie damy* rujnują nasz stan ekonomiczny, złym przykładem danym z góry demoralizują ogół, zatruwają opinią publiczną i psują nam dobre imię u obcych, którzy widząc ich pychę, nieuctwo, lekkomyślność, ich wady przypisują całemu naszemu społeczeństwu.

„Według wyobrażeń wszystkich ludów, kobieta jest (a przynajmniej winna być) kapłanką domowego ogniska, — stare to i oklepane zdanie, ale nikt jeszcze nie objawił gruntowniejszego. Jako dziewica, kobieta jest kapłanką w świątyni gdzie kwitną ideały, gdzie króluje piękno i dobro, wyraża się poświęcenie, zapał i najszlachetniejsze popędy; jako żona jest towarzyszem, przyjacielem, osłodą, pociechą, często siłą i geniuszem mężczyzny; jako matka, pierwsza wyciska piętno na duszach pokoleń i pierwszy im nadaje kierunek. Ona sama jedna stanowi już ognisko domowe, dom, rodzinę, pierwsze ogniwo i podstawę społeczeństw, jest wyobrazicielką ojczyzny; — jako członek społeczeństwa, ona łagodzi i kształci obyczaje, uszlachetnia życie społeczne, nadaje mu wdzięk i powab, przyczynia się do rozwoju sztuk pięknych, jest kwiatem ludzkości, balsamem kojącym, źródłem natchnień lub żyjącym poematem; jako obywatelka, daje obrońców krajowi, przechowuje tradycye, zasady, wiarę i wpaja je z mlekiem, pobudza do czynów, podnieca odwagę, tworzy bohaterów, jest najwspanialszą ozdobą i nagrodą zwycięztwa a w nieszczęściu jest męztwem mężczyzny. Ona ociera łzy, pot i krew, jest lekarzem i lekarstwem — uczuciem które wyobraża wszelką miłość a przedewszystkiem miłość ojczyzny, jest groźniejszą od miecza i stanie niekiedy za armią.

„Czyż damy naszej arystokracyi odpowiadają w czemkolwiek temu obrazowi?—a więc w najwyższej warstwie społecznej, która zawsze i wszędzie chce narodowi przewodzić — *kobiet jest mało*. Toż samo niemal można powiedzieć o osobach płci żeńskiej ze sfer bogatszych właścicieli ziemskich. Średnie, mniejsze i małe majątki drą się i pną aby dorównać wielkim i marnieją dość prędko. Dawniej kobieta szlachcianka nie odznaczała się wielkiem wykształceniem, głowa jej nie była upstrzona strzępkami nauki, nie stroiła się w muszki z chemii, w papiloty z fizyki, *croche-coeur'y* z matematyki, kokardki z historyi, nie różowała się mineralogią, nie bieliła botaniką. Pełna prostoty, szczera, *prawdziwie* pobożna i głęboko religijna, skromna, czytała jedynie poważne, moralne i budujące książki, nie rozprawiała o emancypacyi i równości praw, ale zato niejednokrotnie wywierała zbawienny wpływ na umysły, i otoczona czcią ogólną,

używała przywilejów wyższych od praw mężczyzny. Nie popisywała się znajomością nauk ścisłych i filozofii, ale jakiż to był zdrowy i głęboki rozum przy owej prostocie! jakże wysokie miała pojęcie o obowiązku, co za charakter i siła moralna! Jak odczuwała piękne zasady prawdziwie wzniosłego życia, jak umiała wychowywać dzieci, jak umiała być dla nich świętością! A dziś?—dzieli utracyuszowski żywot męża, dmie się jedna nad drugą, sadzi na zbytkowne powozy, służbę, meble, apartamenta, stroje i klejnoty. Jedyną jej zasadą próżność i pycha; katoliczka bez prawdziwej religii, szlachcianka bez prawdziwej szlachetności, *wielka dama* bez powagi i godności kobiecej, żyje aby jeść, pić, bawić się, stroić, błyszczéć, nie myśléć i nie czuć, nie miéć celu życia, nie pracować i nie dążyć do niczego. Miłość kraju, dobro ogółu — a cóż ją to obchodzi, nigdy nawet nie myśli o tem. Dzieci oddaje do jakichś naukowych zakładów, a jeźli wyjątkowo chowa je w domu, to gorzej jeszcze, bo nie mając najmniejszego pojęcia o wychowaniu i kierując się tylko bezmyślnem przywiązaniem, psuje i paczy najlepsze natury. Książek unika, co najwięcej, przeczyta jakiś romans francuzki, a każdą myśl podnioślejszą, nie dającą natychmiast zrealizować się na gotówkę, nazywa idealnością, niedorzecznością, mrzonką.— Słowem to *nie kobieta*, to *dama*."

I tak dosadnie kreśli charakterystykę stopniowych warstw społecznych, wytykając im płytkość umysłu, wstręt do nauki i pracy, manię strojenia się nad stan i możność, wdzieranie się do sfer wyższych, żądzę zabaw i używania, słowem zewnętrzność — a po za tem nic — i znów kończy zapytaniem: Czyż w nich znajdziemy *kobiety*? gdzież tam, to są *damy*.

„Jakże te wszystkie damy wychowują córki? U najbogatszej, *prawdziwej* arystokracyi, wychowują córki jak najskromniej i najsurowiej; w sferach posiadaczy dóbr ziemskich wychowują panny na księżniczki; w średniem mieszczaństwie i inteligencyi na hrabianki, dziedziczki wielkich dóbr. Wogóle założeniem wychowania nie jest przygotowanie dziewczynki do życia i jego obowiązków, do spełniania zadań ciążących na kobiecie, nie kierują jej na żonę, matkę, obywatelkę, kobietę— celem wychowania jest *ułożenie panny*. Od pierwszych chwil stroi się dziewczynkę nadmiernie, rozbudzając w niej przez to próżność i zalotność. Nauka, języki, talenta nie nabywają się w celu doskonalenia się i oświecenia umysłu — wszelkie wiadomości uważa się za tyle co wstążki i kokardki. Ten kult zewnętrzności wyradzać musi zaniedbanie wewnętrznej istoty człowieka. Tam wszystko więdnie, usycha, kruszy się w pył i wiatr pychy wszystko z duszy wywiewa. Ztąd w panach teraźniejszych dostrzegamy taki brak serca, tkliwych uczuć, słodyczy, łagodności, dobroci i miękkości,—tych najcenniejszych powabów niewieścich, tej broni i potęgi zarazem, któremi niegdyś podbijała i podbitego uszczęśliwiała—za pomocą których mężczyzna chciał być niewolnikiem a czuł się królem, zawsze mógł być bohaterem, a co najmniej prawdziwym obywatelem kraju. Dziś jakażto najczęściej czczość w duszy młodej panienki! Dziewicze rojenia, niewinne i proste jak kwiat niezapominajki, nie snują obrazów szczęścia wśród przyrody, nie marzy „o chatce byle z nim" a wyobraźnia, to już nie słowik nucący po księżycu i ze szmerem strumyka wtórujący wśród ciszy najczystszym uderzeniom serca ku pełnym prostoty ideałom; — wyobraźnia panien dzisiejszych, to ptak stubarwny, świecący, iskrzący się, wspaniały — ale suchy — to wypchana papuga. Jeźli marzą — to o bogactwie, strojach i przepychu, w nich upatrują chwałę, szczęście i godność kobiety. I ta istota, co była niegdyś przewodnią gwiazdą rycerzy, obywateli, artystów, poetów, pod której przeczystym promieniem zakwitały czyny i arcydzieła, co była kwiatkiem który ludzkość pielęgnowała z zachwytem i rozkoszą, której dusza była dla ludzi zapowiedzią raju, aniołem roztaczającym uśmiechy, i białą jak lilja, miękką jak puch łabędzi dłonią ocierającym łzy bólu i udręczeń, matką, którą otaczano największą czcią, ta istota anielska stała się bezmyślną, bezduszną lalką. Możnaż nawet wymagać od dam tak wychowanych aby znały i spełniały swoje obowiązki, kiedy im przez myśl nawet nie przejdzie poco żyją na świecie, a spaczone wyobrażenia stawiają temu nieprzełamaną prawie zaporę?"

Dalej przedstawia jakiemi żonami są takie panny sprzedawszy się dla świetnej partyi; albo, jeźli nie mogąc się jej doczekać, pójdą zamąż za ludzi niebogatych i wszystkiem w domu same zajmować się muszą, lub nakoniec jeźli z woli losu zostaną staremi pannami. Przedstawia ile kobiety mogłyby zdziałać dla dobra kraju, oświaty i moralności, gdyby chciały i odpowiednio były wychowane — nareszcie dodaje: „Są i takie dzięki niebu. Jest klasa istot najmniej widzialnych, z których olbrzymia większość ma prawo do zaszczytnej nazwy kobiety; te najczęściej od dzieciństwa ciężkie przechodzą koleje i walczyć muszą nieomal o każdy kawałek chleba; są inne zajmujące się czynnie oświatą ludu, pragnące podnieść jego dobrobyt, zaszczepić moralność, przywiązanie do wiary naddziadów i zamiłowanie pracy — takie są prawdziwemi obywatelkami kraju, kobietami w najszlachetniejszem słowa tego znaczeniu. Świat niezdolen wynagrodzić takiej cichej zasługi i ukrytej pracy, za którą czcigodne te i nieznane pracownice w własnem jedynie sercu znajdą nagrodę— przed takiemi schylamy czoło — są to prawdziwe *kobiety — Polki*."

Przekonani jesteśmy, że autor powyższego artykułu za surowo i za ryczałtowo osądził rodaczki nasze w Galicyi, i że sąd ten do wyjątków tylko zastosowaćby należało, trudno jednak nie przyznać, że ślicznie i prawdziwie przedstawia staropolskie nasze matrony i kobiety, jakie były i być powinny, jako kapłanki domowego ogniska, matki, żony i obywatelki. Spodziewamy się, że takiemi są lub będą wszystkie Czytelniczki nasze.

⁂ W Ameryce i w Paryżu ma wyjść jednocześnie dzieło pierwsze w swoim rodzaju, p. t. *La condition de la femme en Europe*. Książka ta składać się będzie ze szkiców pisanych przez ludzi różnych narodowości europejskich, aby dać dokładne wyobrażenie o stanowisku kobiety w Europie, pod względem praw cywilnych i politycznych, oświaty, pracy i t. d. Jako współpracownicy zaproszeni są: z Włoch, pani Dora d'Istria, pan Folliero de Luna i panna Mozzoni; ze Szwecyi, pani Rozalia d'Olivecrona; z Norwegii, pani Collet; z Anglii, pani Fawcet; z Niemiec, pani Schepler Lette i panna Marya Calm; ze Szwajcaryi, pani Marya Goegg; z Austryi, p. M. Wenet; z Rosyi, p. Boborykin i t. d. O polskich kobietach pisać ma p. Eliza Orzeszkowa.

Będzie to dzieło bardzo ciekawe i zajmujące, jeźli tylko przedmiot zbadany będzie gruntownie i przedstawiony bezstronnie; wyjdzie jednocześnie w języku francuzkim i angielskim.

---

## OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

*Ubranie dla niedorosłej panienki.* Sukienka z kolorowej gładkiej satynki, ozdobiona jest szerokim szlakiem haftowanym w maszynie na tle żółtawem. Kapelusik z angielskiej słomki, opasany atłasową wstążeczką koloru sukienki i przybrany pomponami.

*Suknia z draperyą koronkową.* Satynka ponsowa i *toile japonaise* w drobny rzucik stanowi materyał na to ubranie. Spódnica składa się z dwóch plisowanych falban oszytych plisą deseniową. Vêtement frakowe dopełnione draperyą koronkową, krótko zebraną z przodu i przeprowadzoną przez szwy łączące boczki z plecami i przewiązaną na kształt szarfy. Szeroki plisowany kołnierz założony na chusteczce koronkowej, odpowiedniej do draperyi, spiętej z przodu bukiecikiem kwiatów. Kapelusz florencki przewiązany wstążką i zdobny makami.

*Suknia z granatowego perkalu.* Przy staniku o podwójnym bawecie dodana oryginalna baskina z materyału w kratę, układana w szerokie kontrafałdy. Spódnica w kratę przysłonięta tuniką z gładkiego materyału; na staniku pod szyję dany rodzaj żabota w kratę. Gładki perkalik ze szlakiem w kratę. Kapelusz z deseniowego batystu (fason zwany Kate Greenaway).

---

## Zawiadomienia.



Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 30 Іюня 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz; Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 28, r. 1882.

# LABIRYNT.

## (Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

VI.

W kościele.

Był to cichy, pogodny poranek niedzielny. W Foxwood-Court wszystkie okna były pootwierane. W sali jadalnej miss Blake sama siedziała przy śniadaniu; zabawiła dłużej w kaplicy gdzie nabożeństwo dziś opóźniło się nieco z powodu przybycia wielebnego Damona Puff, pomocnika pana Cattacomb.

Gdy miss Blake nadeszła, sir Karol i lady Andinnian byli już po śniadaniu. Łucya wyszła do ogrodu. Woń rezedy i innych pachnących kwiatów rozchodziła się w powietrzu; klomby z prześlicznych doniczkowych kwiatów poustawiane na murawach nęciły oczy. Łucya miała na sobie skromną muślinową suknię, gdyż choć lato było już na schyłku, panowały jeszcze wielkie upały. Harmonijny dźwięk dzwonów kościoła ś. Trójcy rozlegał się w przestrzeni, Łucya przysłuchiwała mu się z przyjemnością, powierzchowność jej zdradzała tajony smutek; zdawała się więcej niż zwykle znękana i nieszczęśliwa. Jakże smutne jest moje życie! myślała; podobna jestem do kwiatu niknącego z powodu braku światła i słońca.

Karol wyszedł ze swego gabinetu i zbliżył się do żony ofiarując jej prześliczną różę; podziękowała mu uprzejmie.

— Prześliczny dzień! rzekła, taki pogodny i cichy.

— Co najwięcej że nie dokucza dziś taki upał jak przez kilka upłynionych dni. Jaki smutny jest odgłos tych dzwonów, dodał po chwili.

— Jednakże gdy smutek przygniata serce, taki odgłos dzwonów stanowi dlań jakby rodzaj pociechy.

— Ale, chciałem właśnie pomówić z tobą, Łucyo, o tej kaplicy ś. Hieronima, komedya ta zaczyna mnie niecierpliwić, przechodzi wszelkie dozwolone granice. Byłbym ci bardzo wdzięczny gdybyś zwróciła uwagę Teresy na jej brak taktu.

— Ja — a cóż mnie to obchodzi — zresztą nie zważałaby pewnie na moje uwagi: jest daleko starszą ode mnie, nietylko latami ale doświadczeniem i rozumem!

— Rozumem? o co to to nie; z wyjątkiem jednej okoliczności, masz w ogóle dziesięć razy więcej od niej rozsądku. Lecz jeźli nie chcesz czy nie możesz wpłynąć na nią, to doprawdy nie wiem jak sobie radzić. Coraz więcej szydzą i drwią z owej kaplicy i z głupoty uczeszczających do niej, wszyscy mają mi za złe że pozwoliłem i toleruję te wybryki. Bynajmniej nie życzyłbym sobie odebrać wypomnienie od biskupa.

— Z jakiegoż tytułu biskup zwracałby się do ciebie? zapytała z zadziwieniem.

— Z tytułu że owa kaplica stoi na moim gruncie.

— Pomów o tem z panem Cattacomb.

— Mam jakiś wstręt do tego człowieka, a potem pewny jestem że byłoby to daremnem. Jednakże obecnie gdy jeszcze jakiegoś pomocnika sprowadził sobie, muszę koniecznie powiedzieć mu słowa prawdy.

Cała wieś szemrała głośno, Adam, zawiadomiony przez Annę Hopley o ogólnem niezadowolnieniu, ciskał się i gniewał, i ciągle nalegał na Karola aby raz temu położył koniec. Tak więc wszystko zniewalało Karola aby wyszedł ze swej biernej dotąd roli.

Karol i Łucya razem udali się do kościoła. Klęcząc w ławce obok męża, Łucya uczuła niebawem wpływ świętego miejsca i spokój zaczął zstępować do jej serca. Siedząca naprzeciw Małgorzata Sumnor, patrzyła na nią z współczuciem, gdyż czytała w jej twarzy coraz głębszy smutek i cierpienia.

Kazanie było pełne prostoty ale ożywione gorącą wiarą, jak wszystkie kazania pastora Sumnor. Tym razem wziął za text jedno z błogosławieństw: „Błogosławieni smutni, albowiem będą pocieszeni", i mówił o nagrodzie czekającej ich w życiu przyszłem. Łucya słuchała ze łzami w oczach; Karol widocznie był wzruszony. Przez czas trwania kazania oboje wznieśli się duszą do nieba i chwilowo zapomnieli o swoich cierpieniach. Zmartwieuia i troski przygniatające ich na tym padole wydały im się drobnostką, w porównaniu z nagrodą czekającą ich w niebie.

Po skończonem kazaniu, Karol ukląkł i pochyliwszy głowę w gorącej zatonął modlitwie. Łucya patrząc na niego pomyślała: Nie, to niepodobna aby obecnie wiódł naganne życie — choćby najcięższej zawinił w przeszłości.

Wychodząc z kościoła podał jej ramię i tak wracali do domu, prowadząc obojętną, urywaną rozmowę. Wróciwszy do domu, Karol udał się zaraz do swego gabinetu oznajmiając że nie będzie jeść obiadu, gdyż cierpi okropny ból głowy. Miss Blake zaledwie zjadłszy obiad pośpieszyła do szkółki dopomagać w wykładaniu dzieciom katechizmu, bo przyznać trzeba iż miała tę zaletę że gorliwie spełniała podjęte obowiązki.

Zostawszy samą, Łucya wyszła do ogrodu i usiadła pod swem ulubionem drzewem; Karol przyszedł może w godzinę i zastał ją zapłakaną.

— Czy masz nowe jakie zmartwienie? zapytał.

— Nie, odrzekła, nie uciekając się jak zwykle do wymijającej odpowiedzi; rozmyślałam tylko nad tem że jestem tak młoda jeszcze a tak nieszczęśliwa.

— Wszyscy mamy swoje zmartwienia i troski— wiem przynajmniej że mnie na nich nie zbywa. Jeszcze twoje troski, Łucyo, są wynikiem twej własnej woli, ja zaś niczem nie przyczyniłem się do swoich.

— Niczem się nie przyczynił! pomyślała — przecież co najmniej wytworzył ich źródło. Nic jednak nie odpowiedziała, nie chcąc zakłócać względnego spokoju jaki od rana do serc ich zstąpił.

— Sumnor powiedział dziś bardzo ładne kazanie, rzekł siadając przy niej na ławce.

— O tak! dozwoliło mi prawie zapomnieć że niebo tak daleko jest od nas, że prawdopodobnie długie, długie lata przyjdzie nam tęsknić do niego.

— A które przecież trzeba nam będzie przeżyć jeźli taka wola Boża. Bardzo to smutna perspektywa!...

— Zdawało mi się że byłeś dziś jakiś smutny, rzekła przyciszonym głosem.

— *Smutny!* powtórzył biorąc jej rękę; zbyt słabego użyłaś wyrażenia, Łucyo. Powiedz że przygniata mnie bezgraniczna rozpacz, trwoga, niepokój, że piekielne przechodzę męki, — a nie powiesz za wiele. O! jakże gorąco pragnąłbym porzucić ten padoł płaczu i przenieść się do tej niebieskiej ojczyzny którą pastor Sumnor odmalował nam tak pięknie... bylebym tylko nie pozostawił ich tu samotnych i opuszczonych!

Myślał o bracie i żonie jego, Łucya nie zrozumiała słów jego.

Wypowiedziawszy je Karol wzniósł oczy ku niebu, a w bladej twarzy jego przebijał wyraz niewysłowionego smutku i rezygnacyi. Chwilami, jak i obecnie, serce Łucyi popychało ją aby rzuciła się w objęcia męża i we wzajemnej miłości szukała zapomnienia trosk swoich, gdyż zawsze kochała go namiętnie — ale porywy te powstrzymywała zawsze myśl że poczucie własnej godności nie dozwala jej tego uczynić.

W tem z kościoła rozległ się dzwon zwołujący na wieczorne nabożeństwo; Łucya oznajmiła że chce być na niem.

— Zkądże ci to przyszło? wszak nigdy po dwa razy na dzień nie chodzimy do kościoła. Nie mam ochoty pójść słuchać drugiego kazania, które nie dorównałoby pewnie i zatarło wrażenie jakie ranne wywarło na mnie.

— Nie potrzebujesz mi towarzyszyć, odrzekła łagodnie, mogę przecież pójść sama.

Udała się do swego pokoju; a gdy zeszła ubrana, mąż czekał na nią i poszli oboje; Karol pragnął towarzyszyć żonie pomimo silnegó bólu głowy.

Gdyby Łucya mogła była przewidzieć co zajdzie w kościele, pewnie zostałaby w domu.

W połowie odbywającego się nabożeństwa, weszła do kościoła poważna jakaś kobieta z dzieckiem na ręku. Dziecię to było nader kosztownie przybrane. Długą białą sukienkę zdobił przepyszny haft; płaszczyk niebieski był nadzwyczaj bogaty, a zasłona koronkowa była prześliczna i tak delikatna, jakby z pajęczych utkana nitek. Niezwykły w Foxwood kosztowny ubiór dziecka zwrócił uwagę Łucyi, ciekawa była wiedzieć kto są jego rodzice. Patrząc na trzymającą je na ręku kobietę, zdawało jej się że już gdzieś ją widziała— aż nagle drgnęła — przypomniała sobie że jest to służąca z Labiryntu. Spojrzała na męża — marmurowa bladość pokrywała twarz jego.

Anna Hopley, gdyż ona to była rzeczywiście, stanęła z dzieckiem w pobliżu ławki Andinnianów. Po skończonem nabożeństwie zakrystyan zbliżył się do niej:

— Czy do chrztu przynieśliście to dziecko? zapytał?

— Tak, proszę aby zostało ochrzczone z wody.

— Dla czegoż nie od razu z ceremonii?

— Pani moja jest jeszcze bardzo słaba, nie może wychodzić, a niepokoi się że dziecię tak wątłe nie jest jeszcze ochrzczone, prosi więc aby go ochrzcić z wody, a z ceremonii wtedy gdy przyjdzie do zdrowia.

— Wszak jest to dziecię mieszkanki Labiryntu?

— Tak, mistress Grey.

Pastor Sumnor przyszedł dla dopełnienia obrządku. Wtedy Anna Hopley odrzuciła zasłonę osłaniającą ładną, delikatną twarzyczkę śpiącego dziecka.

— Jakie imię mam nadać? zapytał pastor.

— Karol, odpowiedziała głośno i wyraźnie Anna.

Łucya z kolei zaczerwieniła się i zbladła — uderzyło ją że dziecku temu nadawano imię jej męża. Po skończonym obrzędzie. Anna wyszła zaraz z dzieckiem.

Wyszedłszy z kościoła, Karol chciał podać rękę żonie — ale jej nie przyjęła, szli więc obok siebie nie mówiąc ani słowa.

— Ah! więc to dla tego tak mi odradzał żebym nie szła do kościoła! pomyślała oburzona... Jakże bogato było ubrane!... Czyż zdołam znosić dłużej tak niegodne postępowanie!

Myliła się przecież bardzo. Karol nie wiedział o niczem i zadziwił się niewymownie widząc wchodzącą Annę. Rzeczywiście powiedziała ona zupełną prawdę. Poprzedzającej nocy dziecię było bardzo słabe, iż matka zaniepokojona aby nie umarło nie-chrzczone, zaraz nazajutrz kazała zanieść je do kościoła.

Anna Hopley śpiesznie wracała do domu. Gdy już dochodziła do Labiryntu, spotkała ją powracająca z kaplicy miss Blake. Zobaczywszy dziecko tak bogato przybrane, przeszła na drugą stronę zapytać czyje jest, nie poznała bowiem Anny Hopley, mającej kapelusz na głowie. Dopiero stanąwszy tuż przy niej, przekonała się że jest to służąca z Labiryntu.

— Czy pozwolisz mi pani zobaczyć to ślicznie przybrane dziecko? zapytała grzecznie.

— Śpi biedactwo, a ja się bardzo śpieszę, odrzekła Anna, nie przypuszczając że panią tę mogą cośkolwiek obchodzić sprawy Labiryntu. Ani razu nie obudziło się podczas chrztu.

— A więc zanosiliście je dla ochrzczenia do kościoła pana Sumnor? i unosząc lekko róg zasłony zaczęła przyglądać się śpiącej dziecinie. Jakież mu dano imię.

— Karol, odrzekła Anna.

— Ach!... zawołała mimowolnie, uderzona tąż samą myślą co Łucya w kościele. Jest to zapewnie imię pana Grey?

— Bynajmniej, odpowiedziała.

— Do kogo też dziecko to jest podobne, do ojca czy do matki? zapytała miss Blake.

— Dotąd do nikogo: tak maleńka dziecina do nikogo nie może być podobna.

— A jednak wydaje mi się bardzo podobne do sir Karola Andinnian, zawołała miss Blake na w pół w dobrej wierze, gdyż pragnąc koniecznie upatrzéć to podobieństwo wmówiła je w siebie. Przyznasz pani że to rzecz szczególniejsza!..

Przerażona niewymownie, Anna Hopley bystro spojrzała na miss Blake i oddaliła się śpiesznie. „Jeźli podobny do sir Karola, nie będę z nim wychodzić aby nie ściągnąć podejrzeń i nie zaszkodzić memu panu, poomyślała otwierając sobie furtkę — choć nie chce mi się temu wierzyć — obaj bracia nic a nic do siebie niepodobni.

— Rzecz jasna jak słońce! mówiła sobie miss Blake wpatrując się pokornie w piękny krzyż wyrżnięty na kościanej oprawie jej książki do nabożeństwa. A ta naiwna gąska Łucya nic nie widzi, choć jej przecie otworzyłam oczy!...

Od czasu przybycia pomocnika pana Cattacomb, Damona Puff, młodego bruneta z ładnemi wąsikami, dość ograniczonego ale nadzwyczaj uprzejmego dla dam, liczba stronniczek ich kaplicy zwiększała się ciągle. Wielkiego zadawała szyku jakaś stara bogata panna, która zachwycona wymową pana Cattacomb, czy może okularami jego i piękną czupryną Damona Puff, codziennie przyjeżdżała z Basham okazałym powozem, i podczas kwesty sztukę złota wrzucała do worka.

Jednakże mimo tego powodzenia, w ogóle oburzano się i wydrwiwano tę, jak nazywano komedyę św. Hieromina, i bardzo za złe miano sir Karolowi że raz temu nie położy końca. Gdyby nie ciągłe kłopoty, byłby dawno pomyślał o tem, zobowiązując fermiera Truefit aby cofnął udzielone pozwolenie — dotąd jednak nie śmiał z tem wystąpić bojąc się narazić sobie stronników pana Cattacomb. Nie szło mu o siebie ale o brata — aby niechęć obrażonych nie odbiła się na Labiryncie i jego mieszkańcach. Gdy ktoś dźwiga ciężar strasznej tajemnicy, we wszystkiem upatruje niebezpieczeństwo.

Zdarzyło się że jakaś pani przyszła do niego prosząc aby położył koniec zgorszeniu i zamknął kaplicę, gdyż córki jej potraciły głowy i po dwa razy na dzień, wbrew jej woli, latają do kaplicy, o niczem nie myślą i nie mówią tylko o panu Cattacomb i o Damonie Puff. Odpowiedział jej grzecznie iż najlepszym na to środkiem jest wzbronić córkom niepotrzebnych wycieczek, co przecież nie od niego zależy. Tym sposobem zdołał pozbyć się skarżącej matki, ale widział iż koniecznie raz cóś przedsięwziąść trzeba. Wszystkim zdawało się że może każdej chwili zamknąć kaplicę — on zaś sam nie wiedział czy ma do tego prawo czy nie, i w tym celu postanowił zasięgnąć rady p. Saint-Henry, jedynego prawnika w Foxwood.

Lecz przykrości wynikające z powodu owej, kaplicy, niczem były w porównaniu ciągłego miotającego nim niepokoju, od chwili gdy Anna Hopley powiedziała mu o owem nocnem podpatrywaniu i pojawieniu się przy furtce nocnego szpiega. I Hewitt zawiadomił go także iż rozpytywano się o Labirynt, zręcznie i nieznacznie, jakby od niechcenia. Kto mianowicie ściągał te wiadomości, ani Hewitt ani Karol nie mogli się dowiedziéć, sam fakt jednak nie ulegał wątpliwości. Historyjka opowiadana przez mistress Chaffen o owym gentlemenie czy widmie które zobaczyła w dzień przybycia do Labiryntu, obiegała całą wieś i Karol dowiedział się o tem — można więc wyobrazić sobie jego niepokój, zwłaszcza obok niepewności czy Smith nie jest Salterem, czego sprawdzić nie widział sposobu. Obawiał się objawić Smith'owi swoje domysły aby nie chciał mścić się nad Adamem — wahał się więc i dręczył nie wiedząc co począć.

Niech czytelnicy nie posądzają go o brak stanowczości i słabość charakteru, gdyż nie zasługiwał na ten zarzut; ale żył w tak wyjątkowych okolicznościach, iż wszędzie upatrywał niebezpieczeństwa grożące nieszczęśliwemu jego bratu. Jakże okropnem byłoby jego położenie, gdyby przez jakąś nieostrożność przyczynił się do odkrycia schronienia Adama — do statniej życia chwili dręczyłyby go straszne wyrzuty sumienia.

## VII.

### U adwokata Saint-Henry.

Adwokat Saint-Henry zajadał śniadanie przy obficie zastawionym stole. Był łysy, nizkiego wzrostu, z dobrodusznym wyrazem twarzy, lubujący się w dobrych śniadaniach i obiadach. Od czasu gdy siostrzenice jego uważały sobie za niezbędny warunek zbawienia, bywanie na rannych nabożeństwach pana Cattacomb, zniewolony był sam zasiadać do śniadania. Słońce pełnemi promieniami oświecało ulicę na którą wychodziły okna jadalnego jego pokoju; przez dość przezroczyste rolety mógł widzieć przechodzących, a nawet co się działo w pokojach domu wdowy Jinks, leżącego tuż naprzeciwko -- co bawiło go bardzo.

— Ho! ho! zawołał, zobaczywszy pana Cattacomb w oknie parterowego pokoju, widać wstał dopiero — wypoczywa sobie — za to Damon Puff musiał wstać równo z kurami aby za niego odprawić jakąś tam jutrznię. Teraz to dopiero użyje życia lokator wdowy Jinks, skoro ma pomocnika posłusznego jego rozkazom. I trudno mu się dziwić — tyle dziewcząt i młodych kobiet, to za wiele trudu dla jednego.

I rozśmiał się głośno kładąc sobie na talerz wielki kotlet z pieczarkami, a zjadłszy z apetytem, znów zwrócił wzrok ku oknu:

— Aha! doktór Moore! ciekawym do kogo idzie tak rano... Mistress Jinks niesie potrawkę z cielęciny z ryżem — pewnie na śniadanie dla wielebnego Cattacomb'a. Mówiąc nawiasem doskonała to potrawa — muszę sobie kazać zrobić ją jutro, jeźli tylko dostanie cielęciny... Ale cóż to widzę! sir Andinnian idzie w tę stronę — ranny z niego ptaszek... Trzeba przyznać że ma pańską minę... tam do kata! idzie do mnie, ciekawym co może miéć za interes?

I rzeczywiście sir Karol zadzwonił do drzwi. Jak już wspominaliśmy, adwokat miał kancelaryę w Basham, i codzień po śniadaniu jeździł do tego miasta, jeźli więc ktoś chciał zasięgnąć jego rady w Foxwood, musiał przyjść bardzo rano lub późnym wieczorem. Wprowadzono sir Karola do sali jadalnej, a że adwokat skończył właśnie śniadanie, usiadł z gościem przy oknie. Nie chcąc zajmować prawnikowi dużo czasu, sir Karol od razu przystąpił do rzeczy, zapytując czy miał lub nie miał prawa zająć się kaplicą św. Hieromina.

Adwokat rozśmiał się głośno, bo kaplica ta nastręczała mu nieprzebrane źródło żartów i dowcipów.

— Zdaje się nie ulegać zaprzeczeniu, rzekł nareszcie, iż Truefit miałby prawo kazać im opuścić swoje grunta — ale zależy to głównie od układu jaki zawarli z sobą. Co się tycze ciebie, sir Karolu, doprawdy nie wiem czy masz prawo mieszać się do tego — musiałbym przejrzéć kontrakt dzierżawy Truefit'a. Ale z resztą na cóżby się to zdało, zamknąć im tu kaplicę, przeniosą ją gdzie indziej.

— Bardzo być może, odrzekł sir Karol.

— Moja rada, nie kłopocz się tem wcale, sir Karolu: udaj że nie wiesz o szemraniu i niezadowolnieniu, gdyż pewny jestem że cała ta heca skończy się z nadejściem zimy. Mróz i śnieg wyziębi od razu tę gorącą gorliwość — panie i panny nie będą chciały brnąć po śniegu ani po parę razy na dzień trząść się w omnibusach, aby się dostać z Basham do Foxwood. Poczekaj sir do tej pory; chcąc wystąpić przeciw temu obecnie, napotkałbyś silny opór, trochę cierpliwości, a dokonasz tego z największą łatwością.

— Tak pan sądzi?

— Jestem pewny że na tem się skończy, odpowiedział pan Saint-Henry z wyrazem głębokiego przekonania; mróz ochłodzi z pewnością zbyteczne zapały. Gdyby obecne lato nie było tak pogodne, nowy pasterz nie posiadałby ani czwartej części swych owieczek.

— Ustroili Toma Pepp w śpiczastą czapkę, rzekł Karol.

— Wiem o tem, odpowiedział prawnik śmiejąc się głośno; wszystkie te szaleństwa są mi dobrze znane z opowiadania moich synowic; należą one do najgorliwszych zwolenniczek nowej sekty... i ciągle tylko myślą i mówią o owej kaplicy.

— Ale czy to jest rzeczywiście religią, panie Saint-Henry?

— Bynajmniej!... dziewczęta tak to sobie nazywają i może być że znajdują się wśród nich i takie które są szczerze przekonane że tak jest rzeczywiście, ale większą część pociąga nowość... i pan Cattacomb.

— Słyszałem że ma obecnie pomocnika, jakiegoś pana Puff.

— O! tak; jest to prawdziwy *puf* nadęty wiatrem, nie przewyższający rozumem gąsięcia... Jeźli sobie życzysz, sir Karolu, zapytam Truefit'a jaką zawarł z nimi umowę, jednak radziłbym nie poruszać tej sprawy jeszcze czas jakiś.

Sir Karol postanowił zastosować się do tej rady, i wstał chcąc pożegnać adwokata. W tej chwili spostrzegł jakiegoś nieznajomego przechodzącego wolnym krokiem koło okna; był to pan Enen. Karol widział go po raz pierwszy, gdyż detektiw ostrzeżony przez Grimley'a, że o ile mu się zdaje, sir Karol pragnie ukryć Salter'a, unikał starannie każdego z nim spotkania. Był przekonanym że gdyby tylko sir Karol dowiedział się kim on jest i w jakim celu tam przybył, wszelkie poszukiwania jego mogłyby się stać bezskutecznemi, dla tego też zaledwie dostrzegł Karola z daleka, a miał wzrok bystry — wchodził do jakiegoś sklepu, krył się za płotem lub oddalał w przeciwną stronę. Karol zawsze zamyślony, nie zwracał uwagi na przechodniów. Teraz jednak stojąc przy otwartem oknie, musiał widzieć snujących się przed jego oczyma, i pomimo woli zatrzymał wzrok na nieznajomym.

— Kto jest ten młody człowiek? zapytał.

— Ten?... A! jest to niejaki pan Enen, odpowiedział prawnik z jakimś znaczącym uśmiechem; przynajmniej tu nosi takie nazwisko.

— Tylko tu?

— Tak sądzę.

— Cóż on robi w Foxwood?

— Bawi tu już od paru tygodni, co zaś do interesów które go tu zatrzymują, te o ile mi się zdaje, muszą mieć ścisły związek z policyą.

Pan Enen nie domyślał się wcale że ktoś patrzy na niego, gdyż zwrócił właśnie oczy w przeciwną stronę, a minąwszy dom pana Saint-Henry, zaczął rozmawiać z oberżystą z pod *Czerwonego Lwa*. Gdy Karol przyglądał się nieznajomemu, przyszło mu na myśl że jest zadziwiająco podobny do człowieka opisanego mu przez Annę Hopley, który w nocy zakradł się do Labiryntu, przeraziły go więc niewymownie słowa adwokata: „Sądzę że interesa jego muszą mieć ścisły związek z policyą." Krew zakrzepła mu w żyłach, a po chwili gwałtownie zaczęła krążyć. Policya przysłała do Foxwood jednego ze swych ajentów! Komuż tu mogło grozić niebezpieczeństwo jeżeli nie Adamowi?

„Gentleman szczupły, z twarzą przyjemną i kręcącemi się blond włosami i mogący mieć około trzydziestu lat". Taki był opis skreślony przez Annę Hopley, otóż ten opis zgadzał się zupełnie z powierzchownością człowieka któremu przyglądał się teraz tak uważnie. Nie uszło to uwagi pana Saint-Henry że sir Karol przypatruje się nieznajomemu z najżywszem zajęciem.

— Czy nie wiadomo panu kim rzeczywiście jest ten człowiek?

— Mogę to powiedzieć, sir Karolu, gdyż nie zobowiązałam się do milczenia. Parę tygodni temu, synowice moje przyniosły mi wiadomość że wdowa Jinks ma nowego lokatora, i przez parę dni ciągle mówiły o nim, jako o młodym gentlemanie uczęszczającym na wydział teologiczny w Oxfordzie...

— Ależ... to pan Cattacomb mieszka u wdowy Jinks, przerwał Karol.

— Nie mówię tu o tym postrzeleńcu, zawołał prawie opryskliwie adwokat. Przebacz, sir Karolu, ale nie zawsze mogę mówić spokojnie o panu Cattacomb. Człowiek o którym mówiliśmy mieszka na pierwszem piętrze, a Cattacomb na dole.

— Czy to być może? a ja wyobrażałem sobie że tam mieszka jakiś uczeń i zwolennik pana Cattacomb.

— A tymczasem drugim lokatorem wdowy Jinks jest człowiek który przechodził przed chwilą około tego okna. Ale wróćmy do moich synowic; mówiły tak wiele o jakimś panu Enen, który przybył do Foxwood dla poratowania zdrowia, i przywiózł z sobą greckie i łacińskie dzieła teologiczne, że w końcu rozbudziły moją ciekawość. Pewnego dnia, gdy wybierałem się do bióra i tilbury stał już przed domem, Janina wbiegła do mego pokoju: „Stryju, zawołała, oto pan Enen wychodzi z domu, wyjrzyj prędko oknem a zobaczysz go". Wyjrzałem i zobaczyłem tegoż samego gentlemana, który teraz przeszedł koło mego domu. Zaraz od pierwszego spojrzenia zdawało mi się że go już dawniej widziałem, tylko nie mogłem sobie przypomnieć gdzie i kiedy, dopiero przypatrzywszy mu się lepiej poznałem w nim ajenta policyi ze Scotland-Yard.

Karol słuchał chciwie, oddychając z trudnością.

— Rok temu blizko, mówił adwokat, pan Blair, mój kolega z Londynu potrzebował pomocy detektiwa w jakiejś powierzonej mu sprawie. Bawiłem właśnie wtenczas kilka dni w Londynie, i widziałem parę razy u pana Blair ajenta policyjnego, którego teraz poznałem w osobie pana Enen.

— Więc utrzymuje pan że on rzeczywiście nie nazywa się Enen?

— Tak, jestem tego pewnym.

— A więc jakież jest jego prawdziwe nazwisko?

— Tego nie mogę powiedzieć, sir Karolu, ponieważ wyszło mi zupełnie z pamięci, tego tylko jestem pewnym że to które tu nosi, jest przybrane. Powierzono mu tu zapewnie jakąś czynność, i potrzebuje ukrywać kim jest w istocie. Przypominam sobie że Blair mówił o nim wtenczas jako o jednym z najzręczniejszych ajentów policyjnych.

— Czy poznał pana?

— Trudno to przypuszczać, gdyż nie mógł mi się przypatrzyć tak dobrze jak ja jemu. Ile razy był przy mnie u pana Blair, siedziałem przy stole wraz z dependentami, wątpię więc aby zwrócił na mnie uwagę.

— Więc pan z nim nie mówił?

— Nigdy, ani słowa!

— I nie wiadomo panu w jakim tu przybył interesie.

— Niepodobna domyślić się tego. To jednak pewna że interes ten nie może dotyczeć ani mnie ani ciebie, sir Karolu, dla tego też nie wahałem się udzielić ci, sir, tych szczegółów. Nie potrzebuję prosić aby to zostało między nami; jeźli przybrał inne nazwisko i życzy sobie aby go uważano za studenta teologii, to musi mieć do tego jakieś słuszne powody. Nie mam zamiaru rozpowiadać wszystkim że jest ajentem policyjnym, i zniweczyć tym sposobem wszystkie jego plany.

Karol odpowiedział mu tylko potwierdzającem skinieniem. Mąciło mu się w głowie; upatrywał jakąś styczność między obecnością detektiwa w Foxwood, a doniesieniem o więźniu zbiegłym z wyspy Portland, które czytał w dzienniku.

— Czy... czy pan sądzi że możnaby się dowiedzieć z pewnością, jaki to interes sprowadził go do Foxwood; czy jest na to jakiś sposób? zapytał Karol.

— Nie ma żadnego, o ile mi się zdaje, wyjąwszy gdyby mu się podobało wyznać to komuś otwarcie. Ale dlaczego pytasz się o to, sir Karolu? Wszak to musi być rzecz całkiem obojętna dla ciebie.

— Tak... tak.. bez wątpienia, odpowiedział z żywością Karol, przypominając sobie że stąpa po niebezpiecznej drodze,—tylko że te wszystkie śledztwa policyjne zaostrzają ciekawość, dodał z przymuszonym uśmiechem; zupełnie jakby ktoś czytał jakąś zajmującą powieść.

— To prawda, potwierdził adwokat, któremu to usprawiedliwienie wydało się dostatecznem.

Więc to on mieszka u mistress Jinks, rzekł Karol odchodząc, a w myśli zadawał sobie pytanie: zkąd mu to przyszło do głowy że nowym jej lokatorem jest jakiś młody chłopiec, uczeń pana Cattacomb.

— Tak, sir Karolu, na pierwszem piętrze. Wielebny Gwidon skrzywiłby się zapewnie pociesznie, gdyby się dowiedział że tak zręczny i przebiegły ajent policyjny mieszka tuż nad nim.

— Sądzę że to nie *on* jest przedmiotem troskliwej opieki delegowanego z Scottland-Yard, rzekł Karol żartobliwie; całe jego postępowanie warte jest tylko śmiechu i pewnie nie zakłóca spokoju władz policyjnych.

Adwokat odprowadził Karola aż do drzwi domu, śmiejąc się z tego żartu, a wkrótce potem udał się do Basham.

Poranek był chłodny, a jednak Karol wracając do domu kilka razy ocierał pot z czoła. Teraz już lada chwila mógł dotknąć Adama straszny cios jaki przewidywał od dawnego już czasu.

— Gdyby nie ten przeklęty Smith, Adam mógłby już dawno przebywać w jakiemś bezpiecznem miejscu, myślał Karol. Jestem pewny że zdołałby dostać się na ląd stały...

Zatrzymał się nagle. W umyśle jego zabłysła myśl nowa: może ajent policyi szukał Filipa Salter a nie Adama? Przekonanie to wzmagało się w nim z każdą chwilą i przynosiło mu niewysłowioną ulgę; wkrótce jednak przypomniał sobie gościa nocnego w Labiryncie, oraz rozmowę jego z Anną Hopley w dniu następnym rano, i nadzieja jego osłabła znacznie. Nie ma wątpliwości że to ten sam człowiek zakradł się do Labiryntu... tak, niepodobna było wątpić o tem.

Wszedł prosto do swego gabinetu i rozmyślał tam długo; chciał sobie zdać dokładnie sprawę z obecnego położenia, nie zdołał jednak dojść do jakiegoś stanowczego wniosku. To nabierał przekonania że celem poszukiwań ajenta jest Adam, to znów był pewnym że dotyczą one Salter'a.

Zresztą, choćby rzeczywiście chodziło o Salter'a, to niebezpieczeństwo groziło także Adamowi. Jeźli przebiegły ajent zakradnie się znów do Labiryntu i *spostrzeże tam więźnia*, wszystko będzie stracone. Prawdopodobnie znał tak sławnego zbrodniarza jak Adam Andinnian, a kto wie czy mu to nie przyszło już kiedyś na myśl że tenże nie zginął uciekając.

Prócz tego jedna jeszcze myśl dręczyła Karola; nie mógł tego nie uznać że sobie głównie przypi

taé powinien iż policya rozpoczęła znów poszukiwanie Salter'a, jeżli tylko ajent jej rzeczywiście w tym celu przybył do Foxwood. Gdyby nie to niemiłe przeświadczenie, udałby się zaraz do Smith'a z uwiadomieniem o nowem niebezpieczeństwie, i zapytał się co teraz wypada czynić, jak uchronić Adama od grożącego niebezpieczeństwa. Ale teraz nie śmiał tego uczynić, nie śmiał przyczynić się jakimbądź sposobem do spotkania się Smith'a z ajentem policyjnym. Nie mógł zrozumieć czemu to przypisać że detektiw nie aresztował już Smith'a, jeżli ten rzeczywiście był Salterem; czyby rządzca odgadł kim jest ten nieznajomy i ukrywał się przed nim? Słowem tworzył różne prawdopodobne i nieprawdopodobne przypuszczenia, za nic w świecie nie chciałby przyczynić się do zguby Salter'a — a kto wie czy już nie przyłożył się do niej.

Dręczony niepewnością nic wiedział jak się z niej otrząsnąć; nie umiał znaleźć na to sposobu. Zwrócić się wprost do ajenta policyi z zapytaniem: „Kogo szukasz?" byłoby prawdziwem szaleństwem. On właśnie więcej niż ktokolwiek inny, powinien trzymać się zdala od tego człowieka. Może idzie tu tylko o sprawdzenie jakiejś obiegającej pogłoski i przekonanie się o ile jest uzasadnioną; podobne przypuszczenie było bardzo prawdopodobnem, a w takim razie wdając się w tę sprawę, mógłby tylko umocnić podejrzenia.

Jednak trzeba było powziąść jakieś stanowcze postanowienie, nie podobnaby żyć dłużej w takiej niepewności. Zyskałby już wiele gdyby mógł się dowiedzieć z pewnością kogo policya stara się wyśledzić, a tę wiadomość mógł tylko otrzymać za pośrednictwem pana Burtenshaw. Ale czy zechce mu powiedzieć? było to bardzo wątpliwem, lecz warto spróbować przynajmniej.

Lady Andinnian znajdowała się w swym saloniku na piętrze, gdy usłyszała kroki Karola. Wszedł nie zapukawszy pierwej, co się teraz nigdy nie zdarzało, gdyż od czasu zaszłego między niemi nieporozumienia, nie wchodził nigdy do siebie nie otrzymawszy pierwej pozwolenia. Łucya obliczała właśnie gospodarskie wydatki.

— Jadę do Londynu, Łucyo. Mam do załatwienia interes który mnie bardzo niepokoi, i muszę wyjechać natychmiast.

— Zapewnie z panami Plunkett, rzekła ironicznie Łucya — przypominając sobie że pod tym pozorem jeździł już raz do Londynu.

— Nie, nie będę u panów Plunkett, odrzekł nie zrozumiawszy przycinku — jednak idzie tu o ten sam interes który niepokoił mnie przez całe lato. Chciałbym wrócić dziś jeszcze wieczorem, może jednak będę zmuszonym pozostać tam do jutra, jeźli nie zastanę osoby z którą potrzebuję się widzieć.

— Nie potrzebujesz mi zdawać rachunku z twych czynności, sir Karolu.

Westchnął i zbliżył się do okna. Pociąg do Londynu odchodził za godzinę, nie potrzebował się więc śpieszyć.

— Chciałam właśnie prosić cię o pieniądze, zaledwie mi wystarczy na zapłacenie rachunków.

— Czy nie mogłabyś zaczekać do mego powrotu, Łucyo? Mam w domu tyle tylko pieniędzy ile potrzebuję zabrać z sobą. Ale może wolisz abym ci zostawił czek, z którym poślesz Hewitt'a do Basham.

— O! mogę zaczekać nawet parę dni.

— W każdym razie jutro będziesz miała pieniądze. Gdybym nawet musiał pozostać na noc w Londynie, to z pewnością powrócę jutro przed zamknięciem banków, i zatrzymam się w Basham dla podniesienia potrzebnej sumy.

— Dziękuję.

— Bądź zdrowa, Łucyo.

Podała mu na pożegnanie rękę, którą on zatrzymał chwilkę w swej dłoni, a następnie pochylił się i pocałował ją w twarz.

Łucya zarumieniła się, ale nie wyrzekła ani słowa, wysunęła rękę i pochyliła się nad rachunkami. Karol udał się do swego pokoju, chcąc zapakować w torbę podróżną rzeczy które mogłyby mu być potrzebne, w razie gdyby był zmuszonym pozostać na noc w Londynie.

Następnie zszedł do swego gabinetu i napisał kilka wierszy do Adama, błagając go aby był ostrożnym; poczem włożył list w kopertę i zaadresował do mistress Grey. Zadzwonił na Hewitt'a, i pochylił się zamykając biórko.

— Musisz pójść do Labiryntu, Hewitt'cie, rzekł zniżonym głosem — kończąc te słowa podniósł głowę i przekonał się że to Idzi wszedł do pokoju, nie stracił jednak przytomności umysłu, i korzystając z tego że Hewitt ukazał się na progu, dodał: Dowiedz się czy tam byli blacharze, którzy mieli naprawić rynny. Przy tej sposobności zapytasz się także służącej o zdrowie jej pani.

Idzi stał ciągle w pokoju, Karol chcąc go oddalić posłał go po swój parasol.

Nie będzie żadnej odpowiedzi, Hewitt'cie, rzekł bardzo cicho, podając mu list. Schowaj go do kieszeni.

— Dobrze, sir Karolu, odpowiedział i wyszedł z gabinetu zanim Idzi wrócił z parasolem. W parę minut później Karol wyjechał.

Nie umiemy powiedzieć czy pan Burtenshaw zadziwił się lub nie gdy tegoż samego dnia po południu zobaczył u siebie sir Karola! Urzędnik policyjny był, jak zwykle, zajęty przeglądaniem swych papierów, ale je odsunął od siebie i powstał dla powitana przybywającego.

— Może zechcesz, sir Karolu, zaczekać chwilkę Za parę minut będę na twoje usługi.

— Więc pan wie kto jestem? zawołał Karol.

— Człowiek który tu wszedł z Grimley'em w czasie twej ostatniej, sir, u mnie bytności, powiedział mi że jesteś sir Karolem Andinnian. Zechciej spocząć, sir Karolu.

Pan Burtenshaw zapieczętował i podpisał kilka listów, wyszedł z nimi, zapewnie aby je posłać na pocztę, a powróciwszy usiadł naprzeciwko Karola.— Wygląda gorzej jeszcze niż przed tem, pomyślał, ale jakaż to twarz pociągająca.

Miał słuszność; było cóś dziwnie pociągającego w tych pięknych i szlachetnych rysach wyrażających jakiś cichy smutek, w tych ślicznych a tak smętnych siwych oczach. Karol zdjął rękawiczkę i na palcu jego połyskiwał pierścień z opalem otoczonym brylantami, który nosił zawsze jako pamiątkę po ojcu. Chciał go zwrócić bratu, ale Adam żądał aby go nosił i nadal, gdyż inaczej znajomi jego mogliby się dopytywać co się stało z tak pięknym pamiątkowym pierścieniem.

— Przychodzę do ciebie, panie Burtenshaw, z prośbą abyś mi zechciał odpowiedzieć szczerze na jedno pytanie. Czy... ale, dodał przerywając sobie, sądzę że nie tylko moje nazwisko ale i miejsce mego zamieszkania musi być panu znane?

— Tak, sir Karolu; byłem nawet w Foxwood za życia sir Józefa.

— A więc wracam do mego pytania. Czy to pan posłał ajenta do Foxwood, w celu poszukiwania tam Salter'a.

— Ja nie posłałem tam nikogo, odpowiedział Burtenshaw kładąc przycisk na *ja*.

— Ale pan wie o tem że obecnie znajduje się w Foxwood jeden z ajentów policyi?

— Dla czego sir zadaje mi to pytanie? rzekł Burtenshaw.

— Ponieważ sądzę... ale mówmy otwarcie — ponieważ jestem pewny że ajent policyi bawi od pewnego czasu w Foxwood, i pragnę dowiedzieć się w jakim celu. Przypuszczam że jedynie dla odszukania Filipa Salter.

— A gdyby tak było rzeczywiście? rzekł pan Burtenshaw.

— Nie mógłbym sprzeciwić się temu. Pragnę jedynie dla zaspokojenia mej osobistej ciekawości, usłyszeć z ust pana potwierdzenie moich domysłów.

— A więc nie mylisz się, sir Karolu, jeden z naszych ludzi został wysłanym do Foxwood w tym celu.

— A prawdopodobnie ja sam to wywołałem, rzekł Karol po chwili milczenia; przynajmniej jest to następstwem wiadomości które starałem się otrzymać od pana.

— Od Grimley'a, sir Karolu, ale nie ode mnie. Wysłanie tam Tatton'a nie zależało od mojej woli.

— Więc ten człowiek nazywa się Tatton, zapytał Karol.

Pan Burtenshaw skinął twierdząco głową.

— Tam przybrał nazwisko Enen.

— Doprawdy! Można być pewnym, sir Karolu, że miał do tego słuszne powody.

— Któż go tam posłał?

— Scotland-Yard. Grimley, jak się zdaje, wyobraził sobie, że dzięki tobie, sir, wpadł na trop Salter'a; udał się więc do Scotland-Yard z oznajmieniem że Salter ukrywa się w okolicach Foxwood, i prosił aby rozpoczęto tam poszukiwania.

Karol zamyślił się. Jeżli Tatton poszukiwał Salter'a, to pocóż zakradł się w nocy do Labiryntu? Do czego zmierzało to wypytywanie się Anny Hopley o mistress Grey i jej męża? Czy to był Tatton rzeczywiście?... czy też było ich tam dwóch, Enen i Tatton?

— Jak wygląda Tatton? zapytał głośno. Czy jest to blondyn, szczupły?...

— Tak, szczupły, blondyn; około trzydziestu lat; włosy kręcące się, sir Karolu.

— To ten sam, pomyślał Karol. Zapewnie, odezwał się podnosząc oczy na pana Burtenshaw, Tatton udał się do Foxwood wkrótce po mojej ostatniej bytności u pana?

— Zaraz następnego dnia, o ile mi się zdaje.

— W takim razie przebywa tam już długo, dłużej niż potrzeba dla odkrycia Salter'a, jeźli ten znajduje się tam rzeczywiście.

— Zależy to od okoliczności, sir Karolu, odpowiedział z uśmiechem pan Burtenshaw. Mógłbym panu przytoczyć wypadek, w którym szukano usilnie przez dwanaście miesięcy zbiega, którego można było uchwycić wyciągnąwszy tylko rękę. Ci ludzie posiadają lisią chytrość i przebiegłość.

— Pomimo to sądzę że najlepszym dowodem że Salter'a nie ma w Foxwoodzie, jest to że Tatton nie znalazł go tam dotąd.

Pan Burtenshaw spojrzał bystro na Karola.

(*D. c. n.*)

# Opis do N-ru 28.

N. 1. Fartuszek dla dziewczynki lat 3—4. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 61.

Podług powyżej wskazanej formy można przykroić fartuszek z batystu, kolorowego płótna, szyrtyngu lub t. p. Krając przody nadaje się na kontrafałdę 2 cent. szeroką; brzegi fartuszka i wykrój szyi ozdobione są falbaneczką 2 cent. szeroką i pliską wyszywaną kolorowo; kieszonki liczą po 12 cent. szerokości, 10 dług.

N. 2. Ubranie dla chłopca lat 8—10.

Dla nowych naszych Prenumeratorek podaliśmy krój ubrania noszonego od lat kilku z małemi odmia- nami; fig 50 daje formę szerokich majtek, ściągniętych u dołu na elastykę, zaś fig. 51—52 podają przody i plecy bluzki spuszczonej na majtki. Ubranie to było z mocnego piaskowego drelichu z wypustkami ponsowego perkalu.

N. 3. Suknia ze stanikiem z baskiną fałdowaną.

Spódnica z gładkiej, ciemnozielonej satynki naszyta trzema plisowanemi falbanami, zdobnemi skośną plisą deseniową 6 cent. szeroką, daną z tego samego materyału co stanik i tunika. Ta ostatnia z przodu podpięta à panier, z tyłu spuszczona dłużej i suto podpięta. Stanik ścięty bawetowo z przodu i z tyłu, ma baskinę fałdowaną z materyału dese

N. 1. Fartuszek dla dziewczynki lat 3-4. Krój na arkuszu N. XVII fig. 61.

N. 2. Ubranie dla chłopca lat 8-10. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 50—54.

N. 1—5. Ubrania letnie dla dzieci.

N. 3. Sukienka ze stanikiem z baskiną plisowaną.

N. 4. Sukienka z krótkiem vêtement.

N. 5. Paletocik dla dzieci lat 2-4. Patrz ryc. 14.

N. 6—11. Ubrania kąpielowe.

N. 6. Płaszczyk formą princesse. Krój i plecy na arkuszu N. XII, fig. 45—49.

N. 7. Kapelusz kąpielowy z szerokiem rondem. Krój na arkuszu N. XX, fig. 64—65.

N. 8 -9. Płaszczyk kąpielowy formą douillette. Krój i plecy na arkuszu N. IV, fig. 20—22.

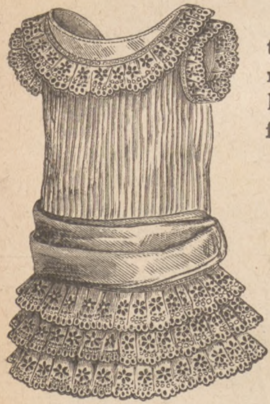
N. 10 Ubranie dla panienki lat 11-13. Krój na arkuszu N. XXI, fig. 66—77.

N. 11. Koszulka do kąpieli dla dziecka. Krój na arkuszu N. XI, fig. 41.

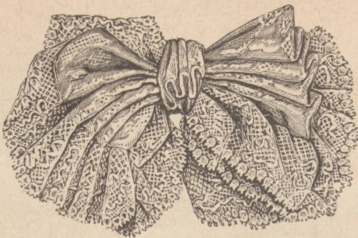
niowego, naszytą gładką plisą. Kołnierz marynarski jest zaplisowany odpowiednio do baskiny.

## N. 4. Sukienka z krótkiem vêtement.

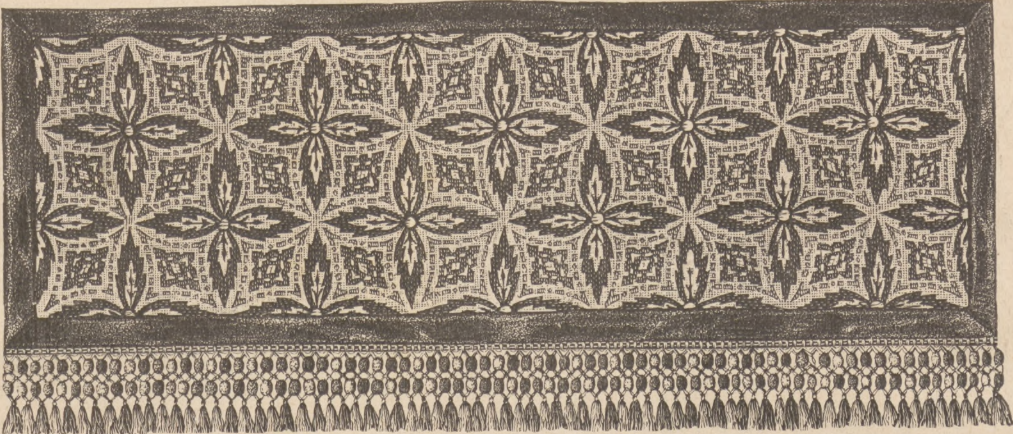
Spódniczka zakończona jest wolantem a powyżej zdobna przemarszczanemi bufami; krótkie vêtement nakształt paletocika, ma z tyłu karoczko fałdowane a otwarte i rozchodzące się szeroko u dołu przody, dopełnione są w górze częścią bluzkową. Wykłady, kołnierz i mankiety haftowane.



N. 13. Sukieneczka wycięta dla dziecka. Krój na arkuszu N. III, fig. 16—19.



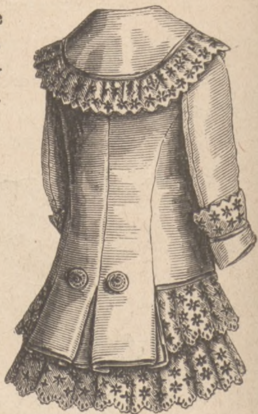
N. 12. Kokarda z materyi i koronki.



N. 15. Przykrycie na poręcz od sofy. Haft marokański. Patrz ryc. 16 tudzież ryc. 35 w N-rze 27.

## N. 5 i 14. Paletocik dla dzieci lat 2—4.

Odrobiony jest z białej piki i zdobny haftem 7 cent. szerokim; na długość dopełniają go dwie falbany 20 cent. szerokie, ułożone w kontrafałdy. Duży pelerynowy kołnierzyk, 12 cent. szeroki i mankiety po 4 cent. szerokie ogarnirowane haftowaną falbanką.

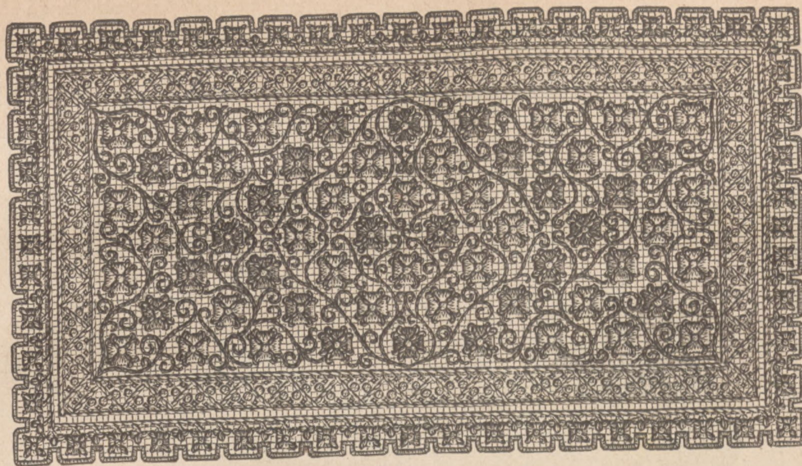


N. 14. Paletocik letni, dla dziecka lat 2—4. Patrz ryc. 5.

N. 16. Haft marokański do ryc. 15. Patrz ryc. 35 w N-rze 27.

## N. 6—11. Ubrania do kąpieli morskich.





N. 17. Serwetka siatkowa z kolorowem wyszyciem. Patrz ryc. 18 tudzież ryc. 15 w N-rze 27.

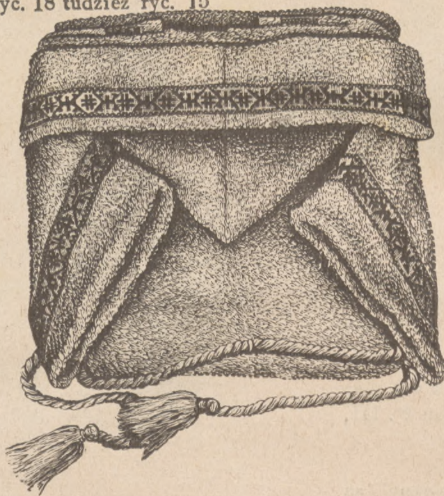




N. 21—22. Prześcieradło kąpielowe.



N. 24—25. Kostjum do kąpieli. Krój na arkuszu N. II, fig. 11—15a.



N. 23. Płaszczyk kąpielowy. Krój na arkuszu N. XXIII, fig. 75.

N. 19. Kapotka z aksamitną główką.

N. 20. Kapelusz z rondem aksamitnem.

### N. 6—7. Płaszczyk kąpielowy formą princesse i czepek. Krój na arkuszu N. XII, fig. 45—49 i N. XX, fig. 64—65.

Uszyty z ruberu białego w pasy niebieskie i ponsowe, wzdłuż przodu oszyty pasem ponsowym przerabianym w kwiaty i zapinany na pentle szmuklerskie. Na zmniejszonym formacie kroju wypisane są całkowite miary szerokości i długości. Kołnierz i wykłady dane z szwajcarskiego perkalu ponsowego. Czepek kąpielowy z rondem jak przy kapeluszu kraje się podług fig. 64-65.

### N. 89. Płaszczyk kąpielowy formą douillette i czepek. Krój na arkuszu N. IV, fig. 20-22 i N. X. fig. 39—40.

Kraje się z prostych brytów cienkiej ponsowej flanelki podług miar wypisanych na fig. 39. Rękawki mają część zwierzchnią krajaną w jednym ciągu z plecami, a od spodu dopełnione są oddzielnym kawałkiem i przemarszczone w szeroką falbankę przy ręku. Przemarszczenie pod szyją odznacza rodzaj karczka. Czepek kąpielowy kraje się z deseniowej ceraty podług fig. 20—22.



N. 26. Suknia z draperyą szalową skrzyżowaną z przodu. Krój draperyi na arkuszu N. XXVI fig. 78—79.



N. 18. Tło i szlaczek do ryc. 17. Wyszycie kolorowe na siatce.

### N. 10. Ubranie do kąpieli dla panienki lat 11—13. Krój na arkuszu N. XXI, fig 66—72.

Bluza i krótkie majtki z granatowej serge, naszyte są białą wełnianą taśmą; guziki płaskie z konchy perłowej. Zamiast odciętego boczka w przodach krajanych podług fig. 67. dana zaszewka idąca aż do dołu. Kołnierz okrągły kraje się z podwójnego materyału, podług fig. 71 i łączy z wykrojem szyi. Proste majtki krają się podług fig. 50, krócej lub dłużej odpowiednio do wzrostu i zapinają z boków.

### N. 11. Koszula kąpielowa dla dzieci. Krój na arkuszu N. XI, fig. 41.

Szyje się z dwóch prostych brytow cienkiej flanelki, złączonych z boków zostawiając tylko kawałki niezszyte na pachę; wykrój szyi można marszczyć na tasiemkę, lub związywać koszulkę na ramionach.

### N. 13. Kokarda z materyi i koronki.

Ułożona jest z prostego sfałdowanego kawałka materyi, tworzącego jeden pukiel i koniec i z trójkątnego kawałka oszytego w około koronką podłożonogo od spodu i ze skośnej części stanowiącej węzeł.



N. 27. Suknia z paletotowym stanikiem. Patrz ryc. 34. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—10.

na przyszyta jest napowietrznie. Berta dopełniająca wykrój sukienki kraje się podług fig 19 i przyszywa od *e* do *f*. Szarfa z kolorowego atłasu.

N. 15—16. Przykrycie na poręcz od sofy. Haft marokański. Patrz ryc. 35 w N-rze 27.

Proste podłużne przykrycie stanowiące zarazem ochronę i ozdobę sofy, dopasowywa się podług jej rozmiarów. Deseń ułożony jest podług staroda-



N. 28. Kapelusz słomkowy dla dziewczynki; rondko podszyte atłasem i koronką. Przybranie z wstążki koronki i kwiatów.



N. 30—31. Kapelusiki dla dzieci.



N. 29. Kapelusz dla dziewczynki, zdobny dużą kokardą i wianeczkiem z kwiatów.

N. 13. Sukieneczka wycięta dla małego dziecka, Krój na arkuszu N. III, fig. 16—19.

Przód i plecy zastębnowane są wzdłuż w zakładki 1 cent. szerokie, w tym celu trzeba najpierw zastębnować materyał, a potem krajać sukienkę podług fig. 16—17. Spódniczkę stanowi prosty, 9 cent. szeroki, trochę nadmarszczony kawałek materyału, przykryty haftowanemi falbankami do 7 cent. szerokiemi, z których dol-

muje się ścieg przez jedną nitkę; w dalszych rzędach ściegi mieniają się z sobą. Gdzieniegdzie stosownie do deseniu wypadają ściegi krótsze, jak to widzimy na dokładnej ryc. 15. Zapełniając środki figur nitką złotą wyszywa się najpierw wzdłuż i wszerz a następnie nitki te przytrzymuje poprzecznemi ściegami. Po skończeniu przykrycie oszywa się pluszem kolorowym i zakończa u dołu frendzlą z kulek. *(D. n.)*



N. 34. Suknia z paletotowym stanikiem Patrz ryc. 27.



N. 32. Suknia z plisowaną spódnicą. N. 33. Suknia zdobna haftem.

wnego haftu marokańskiego z XVIII wieku. Tło stanowi grube płótno na którem rysuje się deseń; do wyszycia użyta pela lub filozela w kolorze wiśniowym i oliwkowym w dwóch cieniach, z dodaniem nitki złotej. Na ryc. 35 w N-rze 27 wskazujemy wyszycie ściegu marokańskiego w którym co pięć nitek tła zaj-



N. 35. Ubranie wizytowe



Pl. 508.

# TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.